

SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 6 (147)

LUBIN

2020 r.



**Podwoły wojsk austro-węgierskich na ulicy w Przemyślanach,
8.07.1915 r. Na dalszym planie widać zarys dachu kościoła
parafialnego i wieżę.**

Autor nieznany. Źródło: www.polska-org.pl.

Szanowni Krajanie,



*Przyjemnych i pogodnych
świąt Bożego Narodzenia,
a w Nowym 2021 Roku
szczęścia, zdrowia,
pomyślności, miłości
i pieniędzy. By uśmiech
co dzień witał na Waszej
twarzy, każdy dzień
przynosił wiele miłych chwil,
i dodawał sił.
SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU*

życzy Józef Wyspiański

Lubin, grudzień 2020 r.

Spis treści numeru 147

Str.

- 3. Fr. J. Dąbrowski. Moje wspomnienia z lat 1939-1945, od Krosienka do Tarnowa (III).
- 15. H. Wietrzny. Smoleńsk.
- 17. Przeżyłam cztery wojny. Wywiad z Marią Trybalską (I).
- 29. Wypis z meldunku.
- 30. Wybrane teksty z przemysłańskiego Dziennika Urzędowego (cz. I).
- 34. J. Wyspiański. Spis ludności w 1943 r.
- 37. Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Kurowicach, Laszkach Królewskich i Łahodowie.
- 40. J. Wyspiański. Tragiczne losy żołnierzy z Hanaczowa w I wojnie światowej.
- 41. J. Wyspiański. Archiwum gen. Tadeusza Komorowskiego.
- 44. Pokłosie naszych publikacji (B. Kopociński, P. Rura).

Kartka z pamiętnika

Franciszek Jerzy Dąbrowski

Moje wspomnienia z lat 1939-1945, od Krosienka do Tarnowa (cz. III)

Część III. Dąbrowice

Swoje świadectwo ukończenia II klasy szkoły podstawowej schowałem w skrzyni z innymi dokumentami. Czasem jak nikt nie widział, wyciągałem to świadectwo i oglądałem go. Moja radość nie trwała jednak długo. Od wschodu nadciągała burza. Coraz głośniejsze były grzmoty wybuchów bomb i pocisków artyleryjskich. To nie była niestety burza, lecz groźne pomruki zbliżającej się wojny. Na razie nasze życie i życie wsi toczyło się jak zwykle, ale nerwowo jakoś. Rodzice codziennie u kogoś pracowali. Starszy brat Stefan zarabiał jeszcze u chłopca w Słupcu, natomiast młodszy, ale starszy ode mnie Kazik, nie pracował już u chłopca w sąsiedniej wsi Borki. Był już w domu i jeszcze był bardzo chory. Którejś niedzieli nie pokazał się jak zwykle w domu. Parę dni później Tato i ja wybraliśmy się do niego. Okazało się, że był chory a ciało miał pokryte wrzodami. Leżał na słomie w stajni głodny i spragniony. Tato zrobił straszną awanturę gospodarzowi, a następnie pożyczył od kogoś wózek i przywieźliśmy Kazika do domu. Na szczęście wylizał się z tej choroby. Nie było ani lekarza ani lekarstw, ale Tato wyleczył go okładami z ziół.

Drogą przez wieś coraz częściej jechały niemieckie pojazdy wojskowe w kierunku wschodnim. Przez to coraz częściej zdarzały się naloty rosyjskich samolotów. Z końcem czerwca 1944 r. zaczął się również ostrzał artyleryjski i raketowy katiusz. Krowę pasłem w dalszym ciągu. Jeżeli zaczynał się ostrzał, to uciekało się do lasu. Jak wspominałem poprzednio, wieś ciągnęła się z zachodu na wschód. Na południe od drogi za domami była łąka, na której pasły się krowy. Około dwieście metrów dalej na południe był las, który ciągnął się wzdłuż wsi i był głęboki na wiele kilometrów. Pewnego dnia, jak paśliśmy nasze krowy nadleciał ze strasznym jazgotem pocisk raketowy katiusza i upadł na łąkę, jakieś 200-300 metrów od nas i wybuchł. Wybuch był strasznie głośny. Wszystkie dzieci leżały plackiem na ziemi. Na szczęście nikomu nic się nie stało, tylko przez jakiś czas nam wszystkim dzwoniło w uszach.

Coraz bardziej słychać było odgłosy walk na wschodzie. W nocy coraz częściej rosyjskie samoloty bombardowały niemieckie pozycje, a więc i nasze

domy. Okoliczni mieszkańcy, a więc i Tato, wykopali w lasach bunkry i tam spędzaliśmy nocę, a rano wracało się do domu. Krowę zawsze zabieraliśmy ze sobą. Któregoś dnia rano jak zwykle wracaliśmy do domu. Kiedy byliśmy już na skraju łąki nadleciały rosyjskie samoloty i dlatego szybko wróciliśmy do lasu. Zaczęło się bombardowanie pozycji niemieckich. Leżeliśmy na poszyciu leśnym, ale widzieliśmy wybuchy bomb.

Na naszych oczach jedna z bomb uderzyła w róg naszego domu. Z domu została sterta palącego się drewna. Cała nasza rodzina i inni nasi sąsiedzi krzyczeli i płakali z rozpacz, bo nasza Pani, nasz dobroczyńca, została w domu. Wszystkie nasze rzeczy spłonęły. Zginęła też lubiana przez wszystkich właścicielka domu. Mimo namowy i przekonywania nie chciała na noc iść z nami do lasu. My znowu mieliśmy dużo szczęścia. Gdybyśmy wrócili trochę wcześniej, prawdopodobnie nikt z nas by nie ocalał. W tym dniu zginęło wielu mieszkańców wsi. Spalił się „nasz” dom i wszystkie rzeczy, które mieliśmy schowane w skrzyni na zboże, spaliły się zapasy żywności zgromadzone przez Rodziców. Spaliło się też moje ukochane świadectwo i wszystko, co było w domu.

Nie było po co wracać do wsi. W rejonie kościoła w Słupsku byli już Rosjanie i trwały tam bardzo ciężkie walki. Jak dowiedziałem się w czasie wycieczki wspomnień w 2012 roku Rosjanie, doszli wtedy aż w okolice naszego domu i tam ustaliła się linia frontu. Taka sytuacja trwała od lipca 1944 do stycznia 1945 r. na południu Polski. Linia frontu ustaliła się w tym czasie od przyczółku z lewej strony Wisły, przez Słupiec z prawej strony Wisły i biegła na południe w okolicy Dębicy i Jasła, do Karpat. Zaczął się okres wojny pozycyjnej, który trwał do stycznia 1945 roku.

Ruszyliśmy znowu w nieznane, całą rodziną z ukochaną krową, przez lasy na południowy zachód Polski. Nie byliśmy jedynymi, którzy tak w panice uciekali. Uciekali przecież wszyscy mieszkańcy Słupca, bo przecież tam toczyły się krwawe walki. Podczas gdy mieszkańcy Słupca na ogół wiedzieli, dokąd i ewentualnie do kogo idą, to my szliśmy przed siebie bez sprecyzowanego celu i byle dalej od działań wojennych.

Po drodze, w jakiejś małej wiosce zaczęły się bombardowania. Był tam schron, który wybudowali mieszkańcy. Bardzo energiczny mężczyzna, prawdopodobnie sołtys, zapędzał wszystkich do schronu. Nam też kazał wchodzić. Dopiero jak wszyscy weszli a było nas kilkadziesiąt osób, sołtys usiłował schronić się do schronu. Niestety niedaleko nas akurat spadła bomba a nasz sołtys został ciężko ranny odłamkiem.

Trudno zliczyć, jak wielu życzliwych, bezinteresownych i chętnych do pomocy ludzi spotykaliśmy na drodze naszej permanentnej ucieczki. A przecież byliśmy tam obcy. Nasz język, też polski, ale zupełnie inny od języka miejscowych wyróżniał nas, byliśmy obcy. A w naturze ludzkiej tkwi niechęć do

obcych, innych, nie swoich. A jednak teraz, jak zastanawiam się nad naszą wędrówką, to widzę jakie pokłady bezinteresownej dobroci tkwiły w ludziach w czasie wojny, a więc w czasie gdy i miejscowi i uciekinierzy byli tak samo zagrożeni. I jeszcze jedna refleksja: zarówno w Słupcu jak i po drodze ucieczki wiele razy spotykaliśmy oddziały wojska niemieckiego. Początkowo baliśmy się tych spotkań, ale stopniowo oswoiliśmy się z nimi. Oni zresztą też nie przejawiali większego zainteresowania nami, aby tylko im nie przeszkadzać i nie wchodzić im w drogę.

Wędrując tak na południowy-zachód w większości przez lasy, dotarliśmy do wsi Dąbrowice. Wieś była prawie całkowicie opustoszała, przynajmniej po tej stronie, gdzie stała bateria niemieckich armat. Stało tam między innymi pojedyncze gospodarstwo składające się z domu i obory. Wszystkie pomieszczenia były puste i częściowo splądrowane, ale meble w domu były. Obok domu był duży stóg słomy i mniejszy siana. Z wielką radością i ulgą zamieszkaliśmy w tym domu. Dom, który zajęliśmy stał na uboczu wioski z dala od innych, na ogół pustych, domów.

Nikt nas tam nie niepokoił. W odległości około stu metrów stała bateria armat niemieckich. W okolicznych pustych domach były króliki, kury i inne zwierzęta domowe. Nasza krowa miała luksusowe miejsce w oborze i dużo dobrej karmy w postaci buraków, no i trawy. Od dawna nie mieliśmy tyle dobrego pokarmu i wreszcie nie byliśmy głodni. Penetrując puste domy trafiliśmy na strychach na suszący się tam tytoń. Tego tytoniu było pełno w każdym domu. Oczywiście moi starsi bracia a ja za nimi też, skręcaliśmy cygara z tych liści i paliliśmy je. To był mój pierwszy papieros w życiu.

Były też negatywne atrakcje. Ponieważ ofensywa radziecka skończyła się, a zaczęła się wojna pozycyjna, to Niemcy od czasu do czasu strzelali do Rosjan a ci z kolei strzelali do Niemców. Wtedy zwykle chowaliśmy się w rowach albo biegaliśmy wokół stogów, zależnie od tego gdzie leciał pocisk. Po pewnym czasie doszliśmy do takiej wprawy, że potrafiliśmy określić, w którym miejscu upadnie pocisk i nastąpi wybuch, stąd nasze tańce wokół stogów. A co by było gdyby pocisk uderzył w stóg albo w dom? Ale dzięki Bogu, mieliśmy wiele szczęścia.

Sielanka nie trwała długo, Przyszedł jakiś żołnierz niemiecki. Jak się okazało, szef kuchni tego oddziału artyleryjskiego i zabrał najstarszego brata do pracy w ich kuchni. Stefan codziennie rano musiał iść do pracy w kuchni, a po południu lub wieczorem wracał do domu. Kazik nie nadawał się do takiej pracy, bo jeszcze ciągle odczuwał skutki choroby, jakiej nabawił się w pracy u chłopca w Borkach. Okazało się później, że praca Stefana u Niemców była zbawienna dla naszej rodziny. Szef kuchni, bardzo przyzwoity człowiek mówił również po polsku i kilka razy pomógł nam w trudnych sprawach.

Któregoś dnia przyszli Niemcy i zabrali Tatę do kopania okopów na froncie. Front był oddalony od nas około 4-5 km. Na drugi dzień Mama na-

gotowała pierogów i po południu kazała Stefanowi i mnie zanieść pierogi Ojcu. Od szefa kuchni, który, jak wspomniałem, mówił również po polsku, Stefan dowiedział się gdzie oni są i jak tam dojść. Tak więc z węzełkiem z garnkiem jeszcze ciepłych pierogów poszliśmy do Taty. Szło się polnymi drogami na otwartym, ale zróżnicowanym terenie z pojedynczymi drzewami, z rowami i nierównościami gdzie można było ewentualnie schować się w czasie ostrzału.

To był naprawdę kawał drogi i byliśmy już porządnie zmęczeni. Doszliśmy wreszcie do łąki pozbawionej bruzd i rowów. To był najbardziej niebezpieczny obszar, bo całkowicie otwarty. W razie ostrzału nie było gdzie schować się. Łąkę należało przebiec aby jak najszybciej uciec z terenu otwartego. Za łąką był las, a za lasiem okopy niemieckie a następnie rosyjskie. W lasu były bunkry a w nich wojsko niemieckie. Na skraju lasu przejęli nas Niemcy uprzedzeni przez szefa kuchni. Wpuścili nas do bunkra gdzie było bardzo wesoło. Tato grał na organkach a Niemcy pili, śpiewali i śmiali się. Okazało się, że Tato był tam bardzo przydatny, potrafił strzyc włosy maszynką do strzyżenia lub nożyczkami. Niemcy mieli maszynkę a więc Tato wcześniej zrobił im generalne strzyżenie a teraz wszyscy bawili się. Okopy kopali nocą, a w dzień wszystkich wycofano do lasu.

Nie zabawiliśmy tam długo, przyszedł jakiś oficer i kazał nam uciekać do domu. Było późne popołudnie letniego dnia. Trzeba było znowu przejść przez fatalną łąkę. Z duszą na ramieniu zaczęliśmy biec przez łąkę, ale prawie natychmiast nadleciały rosyjskie pociski. Cofnęliśmy się z powrotem do lasu i odczekaliśmy chwilę. Trzeba było jednak znowu iść. Za drugim razem udało się nam przebiec ponad połowę dystansu, kiedy znowu nadleciały pociski. Leżeliśmy na trawie, wcisnięci do ziemi. Pociski padały jeszcze chwilę naokoło nas i wtedy pierwszy raz, oby ostatni, słyszałem jak odłamki ścinają źdźbła trawy. Taki dziwny dźwięk, trudno słowami określić go, coś jak „cc cc”. Nasuwa się taka refleksja. Wyobrażając sobie tylko taką sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, to myślimy sobie, że umiera się ze strachu albo robi w portki. Nic z tych rzeczy; chęć przeżycia jest silniejsza niż strach i automatycznie wykonuje się czynności pozwalające na ocalenie. Chwile leżeliśmy aż przestali strzelać i znowu skok do przodu. I znowu nadleciały pociski i tak jeszcze kilka razy aż udało się nam uciec z tego pola ostrzału. To było potworne przeżycie, jak ja się wtedy bałem. Mieliśmy jednak szczęście, że udało się nam wyjść z tego cało.

Dopiero po wielu latach, kiedy sam strzelałem z armat i na własne oczy oglądałem skutki uderzenia pocisków rozpryskowych, przypominały mi się tamte wydarzenia. Wtedy zrozumiałem, że mieliśmy naprawdę dużo szczęścia uciekając pod ostrzałem artyleryjskim. Wróciliśmy do domu, a mama musiała długo nas uspakajać. Po paru dniach wrócił Tato cały i zdrowy, ale wymęczony. Znowu zaczęło się normalne życie przyfrontowe. Co jakiś czas Niemcy strzelali z armat rozlokowanych w pobliżu domu i co jakiś czas Rosjanie strzelali do Niemców,

a my musieliśmy uciekać z domu i chować się po rowach. Żołnierze niemieccy nie niepokoili nas. Oni żyli swoim życiem a my swoim i nawzajem nie przeszkadzaliśmy sobie.

Jednak któregoś wieczoru przyszło do nas kilku żołnierzy niemieckich z wielkim hałasem i krzykiem i w języku ukraińskim zażądali samogonu. Tato powiedział później że to byli „własowcy”. Tato nie był wielkim amatorem alkoholu i robienie bimbru nawet nie przychodziło mu do głowy. Zgodnie z prawdą powiedział tym żołnierzom, że nie mamy żadnego alkoholu. Własowcy nie wierzyli i zrobili dokładną rewizję w domu. W stajni zobaczyli naszą ukochaną krowę i zabrali ją. Powiedzieli ojcu, że jak do jutra przyniesie 10 litrów samogonu to zwrócą krowę. Grozili ciągle nam pistoletami maszynowymi. Dzieci głośno płakały, a oni darli się na nas i grozili zabiciem. Wreszcie zabrali krowę i poszli sobie.

U nas w domu nie było wartościowych rzeczy, oprócz krowy, dlatego nic więcej nie zabrali. Mama cały czas pochlipywała, Tato wyklinał Ukraińców, którzy nawet tu nad Wisłą nas dopadli. Bezsilna złość i nienawiść do Ukraińców odkładała się w naszych sercach. Na drugi dzień Stefan opowiedział wszystko szefowi kuchni. Ten tylko zaklął ze złości, powiedział coś o parszywych Ukraińcach i wyszedł. Po południu powiedział Stefanowi, żeby powiedział Rodzicom, żeby nie martwili się, bo „własowcy” odprowadzą wieczorek krowę. Rzeczywiście, wieczorem krowę odprowadzili, ale ciągle przy tym wymachiwali bronią i grozili, że nas zastrzelą. Wszystko jednak dobrze się skończyło. Znowu mieliśmy dużo szczęścia. Mogli nas bezkarnie wystrzelać i włos by im z głowy nie spadł.

Na początku września przyszli żołnierze niemieccy i powiedzieli, że w ciągu trzech dni mamy wynieść się. Jeżeli po trzech dniach jeszcze będziemy to nas zlikwidują. Jak tu się wynieść i dokąd? Stefan poszedł z tym problemem do niezawodnego szefa kuchni. Ten powiedział, że rzeczywiście szykuje się coś i Niemcy postanowili oczyścić teren z cywilów. Powiedział też, że postara się załatwić podwodę, która podwiezie nas z Dąbrowic do stacji kolejowej. Ten szef kuchni był naprawdę dobrym i bezinteresownym człowiekiem. Być może był Polakiem przymusowo wcielonym do wojska. Stefan go o to nie pytał a on sam nie mówił nic na ten temat. W każdym razie Stefan bardzo mile go wspominał.

Część IV. Tarnów

Według szefa kuchni wszyscy cywile mieli być kierowani do Tarnowa pociągiem Szczucin – Tarnów. Gdyby nie szef kuchni to jak byśmy się dostali do pociągu? W tym czasie pociąg nie dochodził do Szczucina, który był kompletnie zniszczony a tylko do ostatniego przystanku przed Szczucinem. Nie pamiętam nazwy tego przystanku, do którego z Dąbrowic było około 10 kilometrów. Mie-

liśmy nadzieję, że zgonie z obietnicą załatwi nam podwoź, a my zaczęliśmy przygotowania. Rodzice przygotowali trochę mąki, ziemniaków, mięsa i innych produktów tyle, ile tylko dało się ze sobą zabrać.



Dworzec kolejowy w Tarnobrzegu z 1910 r.
Źródło: wikipedia, by Christophorus43.

Na drugi dzień przyjechał mężczyzna na furmanką z jednym koniem. Był bardzo wściekły, bo akurat trwał ostrzał artyleryjski ze strony Rosjan. Przeczekaliśmy parę minut aż ostrzał skończył się, a po załadunku się powoli z ukochaną krową ruszyliśmy w drogę. Rodzice i starsze dzieci pokonywaliśmy trasę piechotą, bo właściciel furmanki ciągle narzekał, że koniowi było za ciężko. Piechotą szła rów-

nież przywiązana do wozu, nasza Krasula. A szkapina rzeczywiście była marna i z trudem ciągnęła ten wóz. Po kilku godzinach dotarliśmy do stacji. Nie wiem, jak nazywała się ta stacja, nie pamiętam. Nadszedł pociąg z wagonami towarowymi i załadowaliśmy się wraz z krową na ten pociąg. Oprócz nas było tam wiele innych rodzin, które - jak my - dostały nakaz opuszczenie swoich domów z różnych miejscowości. Późnym wieczorem pociąg ruszył do Tarnobrzegu i tak zaczął się kolejny etap naszej tułaczki.

Po drodze pociąg często zatrzymywał się, bo albo trasa była zajęta albo zabieraliśmy dalszych uciekinierów. Rano dojechaliśmy do Tarnobrzegu i pociąg zatrzymał się na bocznicy kolejowej. Tu kazano nam wszystkim wysiąść na takim ogrodzonym placu przed stacją. Powiedziano nam, że mamy czekać aż będą dalsze polecenia. Teren był ogrodzony wysoką siatką, w której była brama i furtka. Na placu byli uzbrojeni strażnicy, prawdopodobnie policjanci, byli też żołnierze w niemieckich mundurach. Niemcy przeprowadzili selekcję wszystkich uciekinierów na dwie grupy: młodych zdrowych osobno, a rodziny takie jak nasza osobno. W naszej grupie rodziców nie oddzielono od dzieci, ale starsze dzieci tak. Na szczęście Stefana nie zaliczono do tej grupy i rodzina została w komplecie. Grupa młodych i zdrowych była bardzo pilnowana i ci nie mogli się oddalać. Nas spe-

cialnie nie pilnowano. Powiedziano nam tylko, że mamy czekać.

Tato zapowiedział nam ostro, że mamy siedzieć w kupie i nie oddalać się, chociaż mieliśmy wielką ochotę spenetrować teren. Po tych poleceniach widzieliśmy, jak Tato spokojnie wyszedł przez furtkę do miasta. Nikt go nie zatrzymywał. Widzieliśmy również, że jakaś rodzina chciała wyjść z dobytkiem to zatrzymano ich i kazano pozostać na miejscu. Ojca długo nie było, po wielu godzinach przyszedł zmęczony, ale z zadowoloną miną. Powiedział nam, że tych młodych i zdrowych czeka wyjazd do Niemiec na roboty, natomiast nasza grupa ma jechać do Kalwarii do jakiegoś obozu. Tato powiedział, że mamy wszystko zostawić i zabrać tylko to, co zmieści się w kieszeniach i wychodzić pojedynczo lub parami na zewnątrz placu. Stefan miał wyjść ze Stasią, Kazik z Romanem, ja mam iść z Bronią, a Heniek z Mamą. Mamy wychodzić w pewnych odstępach czasu i wszyscy zbierać się w określonym miejscu daleko od stacji. Mama, Tato i my powinniśmy zabrać jak najwięcej produktów rolnych i spożywczych, ale tak, aby to nie rzucało się w oczy. Spotkanie miało nastąpić pod jakimś wielkim drzewem. Niestety ukochanej Krasuli nie mogliśmy zabrać, musiała zostać a Mama i my wszyscy bardzo płakaliśmy, ale Tato ostro kazał nam uspokoić się. Wyszliśmy wszyscy, przez nikogo nie niepokojeni. Tato nie chciał nam na razie nic wyjaśniać, tylko kazał nam iść za sobą.

Wędrówka nie trwała długo, trochę więcej niż pół godziny. Wyszliśmy już poza miasto, gdzie były małe drewniane domki. Weszliśmy na takie podwórkó gdzie stały cztery domki w kształcie litery L po dwa domki na dwóch bokach. Od ulicy i od stawu nie było zabudowy ani ogrodzenia. Na podwórku czekała na nas znowu starsza i sympatyczna kobieta, która zaprowadziła nas do jednego z domków i powiedziała, że tu będziemy mieszkać. Z wielką ciekawością lustrowaliśmy obcy, nieznany teren. Patrzyliśmy też na tę kobietę, która również nas lustrowała z uśmiechem na twarzy i z jakąś dobrocią w oczach.

To był niewielki drewniany domek obity deskami i dachem pokrytym papą. Domek składał się sieni z kuchnią i dwóch izb. W jednej z tych izb mieliśmy mieszkać, a w drugiej mieszkała ta bardzo sympatyczna starsza pani. W mieszkaniu było jakieś łóżko, stół, krzesła. Była też drewniana podłoga. W porównaniu do izby w Słupcu, było luksus.

Jak dowiedzieliśmy się później, Tato najpierw rozmawiał z kolejarzami i dowiedział się, że już od kilku dni przyjeżdżały pociągi z uciekinierami z okolic objętych walkami. Niemcy zawsze tak samo robili selekcję uciekinierów na tym placu. Młodych, zdrowych i zdolnych do pracy wywożono do Niemiec na roboty. Takich jak my, rodziny z małymi dziećmi - do obozu na Kalwarię. O obozach mówiło się wiele i to z wielkim strachem. Jak dowiedzieliśmy się później, ten na Kalwarii to nie był obóz koncentracyjny, ale takie zgrupowanie uciekinierów na jakimś placu, ale panowały tam fatalne warunki.

Tato w rozmowach z kolejarzami dowiedział się, że w sprawach kwa-

terunku najlepiej rozmawiać z ludźmi na obrzeżach miasta. Ulica Nowodąbrowska w Tarnowie była w tym czasie ulicą podmiejską. Chodząc po domach i rozmawiając z mieszkańcami trafił wreszcie na właścicielkę naszego domu, którą wzruszył tragiczny los naszej rodziny. Zgodziła się nas przyjąć nie stawiając żadnych warunków finansowych. W czasie wojny ludzie byli bardziej skorzy do bezinteresownej pomocy, o czym niejednokrotnie przekonaliśmy się w czasie naszej wędrówki.

Dopiero wiele lat później zacząłem podziwiać naszego ojca, jak potrafił radzić sobie w najtrudniejszych sytuacjach. Jak bardzo prawidłowo oceniał zaistniałe sytuacje i jak potrafił znaleźć optymalne w tej sytuacji środki zaradcze. Jak później dowiedzieliśmy się, w tym przejściowym obozie na Kalwarii panował głód, choroby jak to zwykle w dużych zbiorowiskach ludzkich. Poza tym Niemcy wywozili z tego obozu coraz młodszych ludzi na roboty do Niemiec. Trzeba było przecież zastąpić tych, którzy byli wcielani do wojska.

U nas w domu niestety też zapanował głód. To co wynieśliśmy ze stacji w kieszeniach szybko skończyło się a pieniędzy nie było żadnych. Nikt też nie potrzebował naszej pracy. Sąsiedzi na początku trochę pomogli, ale to było za mało; trzeba było przecież utrzymać dziewięcioosobową rodzinę. Rodzice i starsi bracia najmowali się do każdej możliwej w okolicy pracy ale nikt nas nie potrzebował. Aby zdobyć trochę żywności trzeba było zacząć żebrać po wsiach.

Parę kilometrów za Lisią Górą mieszkała moja ciotka, siostra Tata, która wyszła za mąż za człowieka nazwiskiem Pilipczuk, jeszcze w Krosienku. Pilipczuk, tak jak i my, uciekał ze wschodu. To był bardzo nieciekawym brutalnym człowiekiem. Znęcał się nad żoną, ale prawdopodobnie miał i inne sprawy na sumieniu. Dlatego Tato nie chciał go znać. On wyjechał ze wschodu tym samym transportem i znalazł miejsce koło Lisiej Góry. Kiedyś za wiedzą mamy wybrałem się na żebry w tamte strony. To było jakieś 15 kilometrów.

Znalazłem ciocię i opowiedziałem jej o naszej biedzie. Dostałem kilka kromek chleba i wróciłem do domu. Od tego czasu jeszcze wiele razy chodziłem w tamte rejony, ale nie do cioci, bo bałem się wujka, a żebrałem u innych ludzi w okolicznych wsiach. Zawsze przynosiłem do domu trochę chleba, mąki, ziemniaków czasem ser albo owoce. Zresztą nie tylko ja żebrałem, żebrali również moi starsi bracia. Na początku bardzo wstydziłem się tego wyciągania ręki po wsparcie, tego ciągłego opowiadania tej samej historii, ale głód szybko wymazał wstyd.

Sytuacja poprawiła się, jak Tato pożyczył od kogoś z sąsiadów maszynę do szycia. Gdzieś zdobył kawałek materiału i zaczął szyc czapki. Proszę sobie wyobrazić rolnika, który nigdy nie parał się krawiectwem nigdy nie oglądał takiego urządzenia jak maszyna do szycia, zaczyna szyc czapki tzw. kaszkiety. Mama te kaszkiety zaczęła sprzedawać na targu w Tarnowie. O dziwo okazało się, że te czapki podobały się ludziom i był na nie popyt. Wreszcie w domu był chleb

i skończył się głód, ale to było dopiero pod koniec listopada.

W tym czasie zaczęły się systematyczne naloty rosyjskich samolotów na Tarnów. Wiele razy bombardowane były obiekty kolejowe, ale bomby spadały również na dzielnice mieszkaniowe. Pamiętam, jak bywaliśmy na targu a zawyły syreny, to targowisko pustoszało. Ludzie w popłochu uciekali do piwnic pod arkadami tarnowskiego rynku. Na straganach zostawało wiele dobra. Wstyd przyznać się, ale nieraz zabrało się jakiś smakołyk ze straganu a moi starsi bracia czasem brali również papierosy. Rodzice kiedyś to zauważyli i ten brzydki proceder skończył się, i to wielkim laniem.

Ciągle wspominam starsze rodzeństwo bo młodsze to były dzieci, które na pewno niewiele pamiętają z tamtych czasów. Heniek miał w tym czasie 7 lat, Bronia 5 lat, Roman 3 lata, a Stasia roczek. Młodszy często zostawały same w domu. Czasem chodziły do naszej sympatycznej właścicielki domu. Często wszyscy razem przebywaliśmy w domu, na podwórku albo na ulicy. Do nas zwykle przyłączały się dzieci z sąsiedztwa i urządzaliśmy przeróżne zabawy.

Ten okres w Tarnowie to były naprawdę bez troskie „wakacje”. Mama i Tato stale zajęci, na żebry nie trzeba było już chodzić, więc całe dnie ganiałimy



Budynek dawnego Banku Austro-Węgierskiego w Tarnobrzegu. Obecnie siedziba Prezydenta Miasta. Reprodukacja z: wikipedia, by Christophorus43.

po łąkach z prawej strony ul. Nowodąbrowskiej. Nie wiem, skąd znalazł się u nas taki wózek dziecienny z plecionki o bardzo dużych kołach. W tym wózku woziliśmy Romana i Stasię. Boże, ile razy jedno albo drugie wypadało nam z tego wózka! Jak z tego widać, kiedy skończyła się prawdziwa bieda, a głód nie zaglądał nam w oczy, zaczęliśmy rozrabiać.

Nasza kochana właścicielka, chociaż była wyjątkowo dobrą kobietą, miała w końcu dość ciągłego wrzasku i rozrabiania tej chmary nas i dzieci sąsiadów. Kiedyś nawet poskarżyła się rodzicom. Rodzice prawdopodobnie bali się utraty miejsca zamieszkania i skończyło się to więc generalnym laniem, a potem rozmowami wychowawczymi. Prawdę mówiąc, nawet nie mieliśmy żalu do rodziców. Teraz, jak się nad tym zastanawiam, to być może wystarczyłaby ustna reprimenda, ale w tych czasach i w tych warunkach to, nie takie znowu straszne lanie było najskuteczniejszym środkiem wychowawczym. Rodzice ciągle zajęci nie mieli czasu prowadzić rozmów wychowawczych i nie mogli ryzykować utraty miejsca zamieszkania.

Końcem grudnia 1944 r. naloty samolotów radzieckich nasiliły się. Zaczął się również ostrzał artylerii dalekosiężnej. Do linii frontu wcale nie było tak daleko. Front znajdował się ok. 20 km na wschód od Tarnowa, a więc między Dębicą a Tarnowem. Artyleria dalekosiężna strzela na odległość 40-50 km. Zaczął się również wzmożony ruch wojsk niemieckich. Na północ od Tarnowa było zgromadzenie artylerii niemieckiej.

W okolicy kamienicy, która stała na naszej ulicy, około 100 m bliżej centrum, Niemcy ustawili wielkie działo i strzelali z niego do Rosjan. Przed świętami Bożego Narodzenia mama zrobiła pranie nad stawkiem, a pod wieczór kazała nam przynieść pranie. Poszliśmy Stefan i ja. Już zebraliśmy pranie, kiedy usłyszeliśmy gwizd pocisku artyleryjskiego. Pocisk wybuchł daleko od nas. Po chwili kolejny gwizd i pocisk upadł dużo bliżej. Zaczęliśmy więc w popłochu uciekać do domu. Kolejny pocisk upadł koło stawku, gnaliśmy co sił, chcieliśmy się schować za domami stojącymi prostopadle do naszego domu. Stefan już był za domem a ja na gnojowisku, przez które trzeba było przejść, aby się schować. W tym czasie nadleciał kolejny pocisk i upadł na środku naszego podwórka, kilkanaście metrów od naszego domu. Stefan był za domem, ja leżałem w jakimś niewielkim wgłębieniu na gnojowisku. Pozostała rodzina była w domu i wszyscy leżeli na podłodze.

We wszystkich domach powylaływały większość szyb w oknach, a ściany były posiekane odłamkami. Niektóre drzwi były powyrywane. Szczęśliwie nikomu nic się nie stało. Rosjanie strzelali prawdopodobnie do armaty na podwórku kamienicy. Piszę kamienicy(?) bo tak mówiło się na ten dom, ale to nie była kamienica w dzisiejszym pojęciu, tylko taki murowany dom, w którym mieszkały cztery rodziny na parterze i piętrze. Którejś nocy Niemcy zabrali tą armatę, a Rosjanie przestali do niej strzelać.

Ruszyła ofensywa styczniowa 1945 roku. Od tego czasu baterie niemieck-

kich dział rozmieszczonych w okolicach Krzyża ciągle grzmiały. Po nowym roku większość okolicznych mieszkańców nie nocowała już w domach. Albo chowali się w czasie ostrzału w wykopanych schronach albo na noc przychodzili do piwnicy kamienicy. My, jak wszyscy, co nocy przychodziliśmy do tej piwnicy, bo często w nocy a także i w dzień były naloty i trwał ostrzał rosyjskich armat. 17 stycznia 1945 roku nad ranem zrobiło się nagle cicho. Słysząc było wprawdzie strzały, ale gdzieś dalej. Dwoje śmiazków wyjrzało na zewnątrz i zobaczyli idących rowami z jednej i drugiej strony ulicy żołnierzy radzieckich. Nasi dwaj zwiadowcy wrócili i opowiedzieli o tym co widzieli. Powstał ogromny wrzask radości, że u nas wojna się skończyła. Po jakimś czasie ludzie zaczęli nieśmiało wychodzić na zewnątrz kamienicy. Ulicą w kierunku centrum sunęły kolumny wojsk radzieckich. Na poboczu stali ludzie i wszyscy wiwatowali.

O tym, że to było 17 stycznia (ja daty nie pamiętałem) dowiedziałem się z historii Tarnowa. Wczytałem tam, że wyzwolenie było ze znakiem zapytania. Ale wtedy na ulicy widziałem tylko szal radości, że to u nas, w naszym rejonie nastąpił koniec wojny. W ciągu kilku dni Niemcy bronili się jeszcze w wielu rejonach Tarnowa, a my oglądaliśmy naloty i wybuchy bomb i pocisków artyleryjskich, a także walki powietrzne samolotów. Ale to widowisko szybko skończyło się. Tarnów został wyzwolony.

Do końca wojny nasze życie niewiele zmieniło się. Tato po staremu szył czapki a mama sprzedawała je na targu. Z czasem Tato zaczął szyć również koszule, na których był większy zarobek niż na czapkach. Mama po staremu sprzedawała czapki i koszule na targu w Tarnowie. Ta działalność gwarantowała przeżycie ale nie dostatek. W każdym razie nie chodziliśmy już głodni.

A my dzieci większość czasu spędzaliśmy na zabawach i to na powietrzu. W domu tato pracował i nie można było mu przeszkadzać. Codziennie więc, zwykle po śniadaniu, wychodziliśmy na powietrze, na podwórko, na ulicę albo na łąki z drugiej strony ulicy. Nie zawsze wszyscy razem, a czasem w większych grupach, bo dołączały do nas dzieci sąsiadów. Zabawy nie były skomplikowane: zwykle berek, chowanego, jakaś szmata udająca piłkę i wiele innych. Dziewczyny bawiły się w dom, zakładały jakiś ogród albo bawiły się lalkami zrobionymi ze szmatek.

Stefan i Kazik zaczęli od pewnego czasu znikać z okolic domu. Zachowywali się bardzo tajemniczo. Wcześniej dopuszczali mnie do swoich chłopięcych tajemnic, ale tym razem „nie puścili farby”. Postanowiłem ich śledzić i pewnego dnia wybrałem się za nimi. Jak się okazało, w okolicach Krzyża (obecnie dzielnica Tarnowa) moi starsi bracia odkryli składy ponemieckiej amunicji artyleryjskiej. Na miejscu ujawniłem się braciom a oni, chociaż niechętnie, dopuścili mnie do sitwy - nie mieli wyjścia, kiedy zagroziłem im, że powiem Tacie.

Jak ustaliłem wiele lat później, była to amunicja do niemieckich dział

przeciwpancernych. To jest istotne bo amunicję w działach ładuje się osobno. Osobno pocisk, a osobno łuskę z ładunkiem prochowym i w takiej właśnie postaci amunicja ta jest składowana. Amunicja do armat przeciwpancernych, podobnie jak amunicja karabinowa, jest połączona na stałe. To znaczy pocisk i łuska z ładunkiem prochowym są razem. To jest istotne, bo aby dostać się do wnętrza łuski trzeba było poluźnić połączenie pocisku z łuską. Oni robili to w ten sposób, że chwyтали pocisk za łuskę w okolicach spłonki i uderzali spojeniem o jakiś brzeg ziemi. To było niebezpieczne bo uderzanie pociskiem mogło pobudzić, a następnie zainicjować jego zapalnik i mógł nastąpić wybuch pocisku. Moi bracia i inni chłopcy, którzy to robili, nie zdawali sobie z sprawy z niebezpieczeństwa.

Trzeba było jednak sprawdzić, co jest w środku. A środkiem były skarby. Był woreczek nylonowy z ładunkiem różnych postaci prochu, który mógł służyć jako skarpetka. Wewnątrz woreczka był proch, który pięknie palił się i można było robić z niego różne postacie fajerwerków. Była rurka prochowa, która paląc się co chwile strzelała i leciała w bok. Wyglądało to pięknie, bo zapalona rurka paliła się z sykiem i co jakiś czas strzelała fruując w powietrzu. Dobra zabawa była również wtedy, kiedy przydeptało się rurkę po zapaleniu. Wtedy ona nie latała, ale po kolejnych wybuchach pod stopą efekt był fantastyczny, tak jak przy fajerwerkach. Kiedyś Stefan przyniósł taką rurkę do domu i chciał zademonstrować efekty z przydepnięciem w domu, ale zrobił to niedokładnie i rurka zaczęła fruwać po mieszkaniu. Tu i ówdzie pokazał się ogień. Na szczęście częściowo już wypaliła się pod stopą tak, że fruwanie szybko skończyło się. Nic nikomu się nie stało. Ale potem w domu była straszna awantura. Stefanowi mocno oberwało się od Taty.

Kiedy wszystkie pociski zostały rozebrane zaczęły się kolejne eksperymenty. Najpierw brało się łuskę w rękę tak aby wylot łuski był skierowany do przodu i to tak aby oś łuski przebiegała obok trzymającego. Wtedy młotkiem uderzało się w spłonkę. Następował wybuch spłonki, a z wylotu łuski buchał ogień. Kiedy skończyły się łuski zaczęliśmy rozbierać pociski. Okręcało się zapalnik, a wewnątrz były skarby pirotechniczne. Były tam np. małe metalowe kapelusiki, które pięknie wybuchały. Doskonała zabawa była wtedy, kiedy wierciło się świderkiem dziurę w drzewie wkładało się do środka ten kapelusik i wypuszczało się na zewnątrz zwykłą rurkę prochową (nie tą wybuchową). Zapalało się tą rurkę i uciekało do bunkra. Kapelusik wybuchał a drzewo waliło się jak ścięte.

Oczywiście były to idiotyczne i nieodpowiedzialne zabawy, wiele z nich kończyło się tragicznie. Ale tacy są chłopcy, którzy mają za wiele czasu i nie mają innych ciekawych zajęć. Ile pourywanym rąk, ile poranionych uczestników tych zabaw, były również przypadki śmiertelne. Zrobiło się o tym głośno w Tarnowie. Resztki arsenału artyleryjskiego zostało wywiezionych i zabawa skończyła się.

Cdn.

Hanna Wietrzny

Smoleńsk

Smoleńsk
miejsce podwójnej kaźni
nazwane chichotem historii
tak właśnie
W Smoleńsku Rosjanie
Naszym planowali pomniki
za krzyki ginących za krzyki
Potomków Mężów Rodziców i Żon
rozbił się plon siedemdziesięciolecia
Gdy śmierć spotykała tysiące
w tym wuja mojego
obrońcę rannych i chorych
doktora Franciszka Zbroję
strzałem w tył głowy z rąk brata
oficerów naszych nadszedł kres
bo bies to bies więc się strzeż
W dziesięcioletnim dniu żałoby
Oni są nam bliscy jak Święci
którzy przed Nimi
pod Ojczyzny pług wzięci
padli z honorem
Cześć Ich Pamięci

XXX

II.
w przeddzień rocznicy
wydarzeń smoleńskich
zdjęli cichaczem Rosjanie
Katyńskich Rodzin tablicę
bo na niej
o ludobójstwie wspomniano

nie pozwolili wyschnąć łzom
łzom który pojednanie zatrzyma
nie ma w nich poczucia winy nie ma
i chociaż kamień na kamieniu urośnie
czy będą pamiętać o tamtej wiosnie
i o tej sprzed lat
a że to grzech braci Stalina
to winy na czole Kaina wryta
tak przekazana
pozostanie jak jątrząca się rana
znów na pokolenia

III.

dzisiaj rocznica katastrofy
jak mogliśmy to przeżyć
sprowadzić szczątki i pochować godnie
dziewięćdziesięcioro sześcioro
Braci i Sióstr
Potomków Ofiar Katyńskich
Polskiej Elity Ogrodu
Lacrimosa i Marsz Żałobny
grają nam wciąż
jak róg Wernyhory
pozory życzliwości
w MAKU się pogubiły
teraz nam siły potrzeba
siły by ludobójstwo uznały
władze Federacji Rosyjskiej
a w Unii spotkały się
prawdę szanujące Narody
inaczej nie po drodze nam z nimi

Przeżyłam cztery wojny (cz. I)

Red. Wywiad z p. Marią Trybalską przeprowadzili pracownicy Ośrodka „Brama Grodzka - Teatr NN” z Lublina: p. Dagmara Spodar wraz z p. Piotrem Lasotą. Sluchowisko znajduje się na stronie www.teatrnn.pl. Redakcja biuletynu bardzo dziękuje p. Piotrowi Lasocie za przysłaną transkrypcję sluchowiska. Natomiast p. Marii Trybalskiej redakcja dziękuje za akceptację wprowadzonych zmian.

Proszę się przedstawić.

Nazywam się Maria Trybulska, z domu Maria Gozdawa-Tyszkowska urodzona w 1931 r. w Brzeżanach, województwo tarnopolskie, czyli na wschodzie. Ojciec mój był właścicielem ziemskim. Do 1939 roku mieszałam z mamą i starszą siostrą w Chlebowicach, z tym że właściwie to siostry prawie nie znałam w okresie dzieciństwa. W Chlebowicach była tylko szkoła czteroklasowa, wobec tego moi rodzice po pierwszej klasie wysłali Krystynę do babki mieszkającej w Brzeżanach i ona tam chodziła do szkoły.

Z bardzo wczesnych lat to właściwie pierwsza moja pamięć została ujawniona w czasie wojny, bo myśmy wtedy uciekli do Brzeżan i mieszkaliśmy u rodziców mojej mamy. Mama coś tam wspomniała o pradziadku Franciszku Nartowskim, że on zmarł i taki był piękny pogrzeb wojskowy, a ja na to mówię:

- Mamo, ja wiem jak to wyglądało - i zaczęłam mamie opowiadać.

- Ale ty nie możesz pamiętać, ty miałaś wtedy cztery lata.

Więc ja mówię:

- Mamo, była piękna pogoda, był upał. Był na wozie, bardzo dużo ludzi, konno byli żołnierze, ułani, i był taki wóz nakryty taką czarną, błyszczącą tkaniną ze złotymi frędzlami i ten wóz był ciągnięty przez cztery piękne, czarne konie, które miały na głowie przy kantarach takie czarne wachlarze ze złotymi brzegami.

I moja mama wtedy oniemiała kompletnie i mówi:

- Jezus Maria, ty rzeczywiście to pamiętasz. Tak było.

Więc stąd wiem, że pierwsza pamięć to była wtedy, jak skończyłam cztery lata. A później takie różne chwilowe jakieś sytuacje pamiętam świetnie. Na przykład jak o drugiej.

Chlebowice przecinała rzeka Świrz, która równocześnie zasilala młyn, który był własnością ojca. Po obu stronach rzeki były gminne pastwiska. I po drugiej stronie rzeki - gdzieś chyba w latach dwudziestych - tak domniemam - bo budynek już był taki bardziej nowoczesny, wybudował się brat mojego ojca, Józef Tyszkowski. Miał on jedyne go syna, Rysia. I Rysiu przychodził jak były wakacje, bo on się uczył we Lwowie, ale był starszy ode mnie o pięć lat, a ja mogłam mieć 6, 7 lat.

Ja jeździłam konno od małości, właściwie taka miłość do zwierząt to były konie, żeby było śmieszniej. Chcąc się przejechać robiłam to w ten sposób, że wchodziłam do stajni i szłam do swojego konia. Miałam klacz o nazwie Wanda. Wchodziłam do żłobu, a z żłobu po szyi, w międzyczasie ją odczepiałam od żłobu, i wyjeżdżałam już na oklep. Naturalnie jeździłam na oklep, od piątego-szóstego roku życia.

No jak Rysiu do mnie przychodził w czasie wakacji, to skakał przez wóz drabiniasty. Miał piękną klacz rasy holenderskiej, jakaś taka rasa była, duża klacz, nazywała się Dżawa. A ja skakałam na Wandzie na oklep trzymając się grzywy. Sobie wyobraźcie dzisiaj dziecko pięcio-, sześć-, siedmioletnie. To przecież rodzice wpadliby w ogóle pod stół, jakby widzieli coś takiego. A zresztą w ogóle byłam numerant. Drzewa nie istniały dla mnie, zresztą ja w ogóle powinnam się była chłopakiem urodzić, no ale wyszło, jak wyszło. No więc z tym Rysiem takie dalsze wycieczki urządzaliśmy konno.

Ja się bawiłam głównie z psami, bo były cztery psy w domu. Miałam zrobiony wózek, nieduży, zaprzęgałam te psy do tego wózka: Żabkę i Zbója, a jakże, no i tak się bawiłam. Nie miałam w życiu ani jednej lalki.



Maria Trybulska,
z domu Gozdawa-Tyszkowska.
Źródło: www.teatrnn.pl.
Fot. Piotr Lasota.

A proszę powiedzieć, jak wyglądał ten majątek? Tam był dwór czy pałac?

Tu jest zdjęcie. Dom był budowany hu, hu, hu! To jest tylko folwark, część naturalnie. Po jednej stronie była owczarnia, a po drugiej stronie taką samą część zajmowały świny. Świniarnia? Nie świniarnia, inaczej się mówi – chlewnia. O, to jest właściwe określenie. Były też różne zagrody gospodarskie dla krów i koni. Pośrodku była duża studnia i dwa koryta. Jedno koryto było niskie. Pamiętam doskonale, jak kwoka wyprowadziła pierwszy raz kaczkę. Nie wiem dlaczego, ale widocznie tak to jest w gospodarstwach, dzisiaj nadal nie wiem dlaczego, że kwoka wysiaduje jaja innych ptaków, nie tylko swoje. Między innymi właśnie kwoka wysiedziła kaczkę. Gdy kaczka pierwszy raz wyszły na dwór, to naturalnie skierowały się prosto do tego koryta z wodą i zaczęły pływać, a ta kwoka latała naokoło koryta wrzeszcząc niemożliwie, bo dla niej to było w ogóle

nie do przyjęcia, że jej dzieci wchodzi do wody i się kąpią. Dopiero ojciec jakoś tłumaczył, dlaczego tak jest. Już nie pamiętam, jak to mi wyjaśniał. Ale kwokę z kaczkami to pamiętam, mam w oczach, bo ona latała z takim strasznym gda-
kaniem naokoło tego małego koryta.

A drugie koryto było wysokie, znaczy dużo wyższe i to było poidło dla bydła. Jak schodziły krowy z pastwiska, to szły prosto do niego, poły się i dopiero szły do stajni. I konie tak samo. Krów nie pamiętam, chyba było z osiem-dziesięć krów, były również cielaki. Naturalnie był buhaj zarodowy jakiś tam, nie pamiętam, jaki on był, zupełnie go nie pamiętam, ale wiem, że między innymi ojciec miał złe imię wśród swoich różnych znajomych, właścicieli ziemskich. Mówili, że on jest komunista z tego względu, że ojciec nie brał od ludzi opłaty za stanówkę. On uważał, że te krowy wiejskie to są jak kozy, po prostu zły gatunek i że trzeba koniecznie doprowadzić do tego, żeby odnowić na lepszy materiał zarodowy. Gdy przyprowadzano krowy ze wsi do stanówki, to ojciec nie brał pieniędzy. Inni właściciele brali opłaty za użycie buhaja.

Tak samo było zresztą z ogierem. Też nigdy nie brał żadnych opłat, ale w ogóle mój ojciec był wyjątkowo przyzwoity człowiek. Dlatego bez problemów wyjechaliśmy w 1939 roku. Mało tego, nasi ludzie przez dwa lata nam dowozili jedzenie, czyli dwa razy do roku, zawsze na Boże Narodzenie i na Wielkanoc przywozili do Brzeżan mąkę, ziemniaki i warzywa, i tak dalej, i tak dalej. Ze wsi przywozili i Ukraińcy i Polacy. Mowa o strasznych Ukraińcach różnie wyglądała. Jak zwykle wszystko zależy od ludzi po prostu.

A ojciec mój bardzo wcześnie stracił swego ojca. Myślę, że miał wtedy chyba sześć, osiem lat. Żeby było śmieszniej, to jego ojciec zmarł po trzydziestce na zapalenie, ropne zapalenie zębów. W każdym razie mając te trzydzieści cztery czy sześć lat zmarł w wyniku zapalenia zęba. Ropa do mózgu poszła i cześć. I wobec tego babcia została sama na gospodarstwie z trójką dzieci, bo ojciec miał jeszcze brata i siostrę. Siostra była najstarsza, później ojciec mój, a później Józek, najmłodszy.

Widocznie wtedy było w takiej modzie, że w domu był fortepian. Dom był drewniany i murowany. Natomiast był kryty gontem. Na dole był babci pokój, później był salon, później był jadalny, później był nasz, no chyba sześć, siedem, osiem pokoi, były dwie kuchnie, spiżarnia duża, duży ganek, z którego się wychodziło do ogródka. Ojciec mój właściwie uległ namowom babci o uczeniu dzieci gry na fortepianie. Wobec tego przychodził organista uczyć małego Adasia gry. Z cerkwi, bo w Chlebowicach była tylko cerkiew, kościoła nie było. No i któregoś dnia jego mama, a moja babcia, wchodzi do tego pokoju i Adaś ryczy. Więc pyta:

- Czemu ty płaczesz?
- Bo dostałem linijką po palcach!
- A dlaczego dostałeś?

Na to pan organista mówi:

- Proszę panią, on w ogóle nie czyta nut!

Na to mój ojciec mówi:

- Jak ja mam czytać nuty, skoro tylko widzę papier i jakieś kreseczki na tym papierze.

No i dopiero wtedy się okazało, że chłopak po prostu ma strasznie słaby wzrok. Wtenczas babcia pojechała do Lwowa do okulisty. W każdym razie ojciec jak umierał w wieku 63 lat miał minus osiemnaście i minus szesnaście [dioptrii]. I bez szkieł nic nie widział. Więc jak ten mały szczeniak mógł czytać nuty? Tak skończyła się gra na fortepianie.

Jezuici prowadzili w Chyrowie, tam, na wschodzie, zakon szkolny dla chłopców. To był bardzo znany zakon. W nim byli przeważnie chłopcy pobliskich majątków i tam kończyli szkołę. I dzisiaj jako stary człowiek jestem pełna podziwu, jak oni uczyli, dlatego że mój ojciec znał wiersz po grecku, po łacinie, znał grekę, łacinę, niemiecki, rosyjski i polski. Niemiecki - zabór austriacki, no więc rozumiałe, ale i grekę i łacinę. A skończył edukację w czternastym roku, jak się zaczęła wojna światowa.

Został więc powołany do wojska, bo skończył osiemnaście lat. I mimo tego wzroku Austriacy go wzięli. Ale grzecznie, wzięli go tylko do obsługi ambulansu, do zbierania rannych, czyli został noszowym. To zajęcie dało mu świetną szkołę, jak się obchodzić z ranami, tamowaniem krwi i tak dalej, i tak dalej. Nauczył się tego, co mu się strasznie później w majątku przydało.

Chlebowice Świrskie były oddalone od Przemyśla, miasta powiatowego, plus-minus 14 km w jedną stronę, do Bóbrki, to z kolei było na zachód, również powiatowe miasto, też plus-minus 15 kilometrów. Wobec tego wieś była bez pomocy medycznej. Absolutnie. Przychodzili więc chłopci do majątku prawie codziennie z różnymi ranami. Najczęstsze to były rany stóp, dlatego że latem chłopci wszyscy na ogół chodzili bez butów, na bosaka. Ale każde skaleczenie, a chodzili też po ściernisku, a później szli do stajni, powodowało okropne rany. Wobec tego czasem te nogi były w strasznym stanie. Gdy przychodzili, to wtedy były takie rozkazy, to pamiętam:

- Mariańciu, idź do kuchni i niech nagrzeją wodę. Potrzebne będą dwa wiadra wrzątku.

Ojciec do mnie zawsze mówił Mariańciu. Ja nie byłam Marysia, ja byłam Mariańcia. Asystowałam ojcu przy opatrywaniu, ponieważ jak był wieczór, to trzymałam świeczkę. Lampa zawsze stała, lecz nie wolno mi było brać ją do ręki, ale trzymałam świeczkę lub bandaże. W każdym razie ja się napatrzyłam na te rany, co mi też dało świetną szkołę życia. Później, jak już urodziłam i miałam syna, to właściwie z pogotowia nie wychodziłam, bo stale coś zbroił i wiecznie coś się działo. Zawsze potrafiłam dać sobie radę. No właśnie dlatego, że od malleńkości napatrzyłam się na te rany i na mnie krew nie robiła w ogóle wrażenia.

U mnie to było normalnie bez najmniejszego wzruszenia, że tak to określe. Tak że ta nauka też mi bardzo dobrze zrobiła.

A proszę powiedzieć, czy był to duży majątek?

W sumie majątek miał około pięciuset morgów. [1] Mam dokumentację z podziału majątku z roku 1926 lub 1928, bo dopiero wtenczas nastąpił podział. Czyli już po tym, jak ojciec się ożenił. Był drugi brat Józek i była siostra Zosia, która wyszła za mąż i mieszkała we Lwowie. I oni, tak z tego podziału wynika, wszyscy dostali po plus-minus 150 morgów. Morgów, bo tam były morgi, nie hektary. W sumie ojciec cały czas na tym sam prowadził gospodarkę, później spłacał swoją siostrę. Zaś Józek prowadził gospodarstwo, pobudował się po drugiej stronie rzeki Świrz i z kolei hodował konie, ale na wyścigi. I namiennie jeździł do Lwowa na wyścigi i nie wiem, grał, nie grał, nie moja sprawa. Domniemam, że grał, bo to różnie bywało ze spłacaniem różnych historii.

Cały majątek został podzielony na cztery części, bo matka mego ojca mieszkała cały czas z moim ojcem i z moją mamą w tym samym majątku, tylko Józek się wyprowadził i siostra się wyprowadziła. Babcia nazywana była Bunią. Mieszkała z nami do 1939 roku, z tym że wtenczas pojechała do córki do Lwowa, a myśmy pojechali do Brzeżan, do rodziców mojej mamy.

Proszę powiedzieć, ile lat ten majątek był w rękach rodziny?

Jak wyjeżdżaliśmy w 1939 r. to pierwszy raz w życiu widziałam, jak ojcu kapąły łzy. I jakoś taka zdziwiona mówię:

- Tatuś, ty płaczesz?

A ojciec mówi:

- Smutno mi, czy płaczę, te ziemie w naszych rękach były 250 lat, a teraz muszę uciekać.

Coś takiego powiedział. Ja wtenczas miałam osiem lat. W każdym razie pakowaliśmy się, a jeszcze wcześniej to była taka sprawa, że w 1939 roku w nocy przyjechało Wojsko Polskie. Ja nic nie widziałam, tylko na drugi dzień się o tym dowiedziałam. Poszłam do stajni a mojej Wandy nie ma, innych koni też nie ma. Okazuje się, że Wojsko Polskie zabrało ze stajni wszystkie konie robocze, zostawiając konie chore, okulałe itp. Później mama mówiła, że w nocy było wojsko i zabrało zdrowe konie. Uciekali na wschód, na Stanisławów. Żeby było śmieszniej, to w tym czasie brat mojej mamy właśnie przeprowadzał wojska polskie do Rumunii, bo on był leśnikiem i doskonale znał te lasy i górne przejścia w tam-

[1] Adam Tyszkowski posiadał w Chlebowicach Świrskich dobra ziemskie o powierzchni 591 ha. Ponadto był właścicielem cegielni. Patrz: *Księga adresowa dla handlu, przemysłu, rzemiosła i rolnictwa*. Wyd. Tow. Reklamy Międzynarodowej. Zakłady Graficzne w Bydgoszczy, 1927 r. Dop. J.W.

tym terenie. A to piękny teren. Byłam tam w 1991 roku. Pojechałam ze swoimi wnukami na narty w charakterze opiekunki, bo oni nie mieli jeszcze dziesięciu lat i musiał być opiekun. Pojechałam i sobie przypominałam tamte tereny. To były piękne tereny. Tu takich nie ma.

Proszę jeszcze powiedzieć, bo tutaj pokazała Pani zdjęcie tego folwarku. I przy tych zabudowaniach, w jakiej odległości znajdował się u Państwa dom? To było blisko czy daleko?

Całe było podwórze, więc na pewno dalej niż tamten budynek, bo to tak od naszego ganku, z którego ja wychodziłam, to było dobre plus minus 10 metrów do studni na pewno i od studni później do stajni było drugie 10 albo 15 metrów, czyli 25-30 metrów. Oczywiście dziecko a oczywiście dorosłego człowieka to jest różnica. Natomiast było to duże podwórze i zabudowane. Z jednej strony, po prawej, była duża stajnia, po prawej stronie były konie, a po lewej stronie były krowy, cielętnik tam był, i stoisko dla byka i tak dalej. Ale to wszystko było po prawej, więc te zabudowy były długie na pewno, bo tutaj to jest kawałeczek tylko, prawda? I ta strona, gdzie była owczarnia, no to mniej więcej była taka jak te dwa pokoje. Tam były owce, 15-20 sztuk, dużo nie było.

A po drugiej stronie z kolei chlewnia - no i był knur, Anglik zarodowy. Pamiętam, że ojciec się strasznie cieszył, że właśnie kupił zarodowego knura. No i zawsze było ze dwie, trzy lochy z prosiętami. Były też prosięta już podrośnięte, takie te opasy, nie opasy, bo to i na słoninę się hodowało, znaczy głównie na smalec, na wędzonki, na kiełbasę. Mama robiła mniej więcej dwa razy do roku bicie świni, z tym że ja nigdy tego nie widziałam. Zawsze widziałam tylko, jak się już w czeladnej kuchni robiło wszystkie przetwory. Natomiast momentu zabijania świni i tak dalej nigdy nie widziałam.

Ale zobaczyłam w 1939 roku, jak weszli Rosjanie. Naprzód byli ci ułani polscy i zabrali konie. Kilka dni po tym, w każdym razie gdzieś po dwudziestym wrześniu, przyjechał starszyna, starszy lejtnant, i chyba czterech albo pięciu żołnierzy rosyjskich. I wtedy pierwszy raz zobaczyłam wojsko rosyjskie. To też mam w oczach, bo strasznie byłam zaskoczona, że im wszystkim z płaszczy wiszą sznurki, ponieważ te płaszcze były nieobrębione. Te części wisiały po prostu, bo jak jest materiał nieobrębiony, no to strzępy wiszą. I oni właśnie tak wszyscy z tymi strzępami chodzili. Ja nie mogłam się nadziwić. No i naturalnie towarzystwo się rozlało po całym majątku i wtedy zaczęli z chlewni wyciągać świniaki na środek podwórza. Ja wtedy siedziałam w kuchni na oknie i to wszystko widziałam. Trzymały mnie dziewczyny nasze. W kuchni przy samym oknie był duży stół i ja siedziałam na tym stole i patrzyłam na ten majątek. A z kolei ten starszyna wziął ojca i chodził z nim po całym majątku. Później weszli do domu i zaczęli chodzić po pokojach. I do matki ojca weszli. Na to Bunia podniosła się z krzesła, pokazała puste ręce i mówi:

- Już wszystko zabrali w osiemnastym roku. Nie ma nic, nie ma nic, nawet mi palec chcieli obciąć. Zgodnie z prawdą, to był osiemnasty rok, jak Rosjanie weszli.

- Więc ojciec mówi:

- Mamo, spokojnie, pan tylko przechodzi przez pokoje, pan nic nie zabiera.

No i babcia się uspokoiła. Babcia zmarła dopiero we Wrocławiu w 1953 albo 1954 roku, czyli już dobrze była po osiemdziesiątce, domniemam. Była bardzo miła staruszka, z tym że właściwie się ze mną nigdy nie bawiła. Mało ją pamiętam *de facto*. A jak pamiętam, to właśnie z takich dobrych stron, bo nim wyszła z pokoju, to zawsze musiała sobie zrobić głowę i to było przekomiczne. Wkładała jakieś takie szczypce do palącej się lampy, nagrzewała, później to wy-cierała i sobie kręciła takie loczki przy uszach. W ogóle była elegancką panią. I zawsze miała powieszony, z tym że nie wiem, czy to był lornion [*binokle na długiej rączce - dop. J.W.*], czy tylko cwikier [*binokle utrzymywane na nosie - dop. J.W.*]. W każdym razie wydaje mi się, że to był cwikier, ale nie jestem pewna. Ojciec całe życie tylko w cwikierze chodził. Ja nie wiem, jak to się trzymało. Ojciec w ogóle nie miał tej chrząstki między oczami tylko dwa wgłębienia bardzo głębokie przez to, że wtedy nie nosiło się okularów tylko cwikier. A ten cwikier to był taki gruby, bo ze względu na to, że miał taki krótki wzrok. To wszystko było przedziwne.

Jeśli chodzi o szkołę mego ojca, to nic więcej nie wiem, tylko ten Chyrów. Później wojna od czternastego do osiemnastego roku, dopiero w osiemnastym roku zaczął gospodarkę na swoich ziemiach. W 1925 roku się ożenił z moją matką, a rok później urodziła się moja siostra Krystyna - matka Jurka, a ja w 1931. Natomiast ojciec jakoś tam w tym okresie gospodarzył, właściwie ja to teraz zaczynam rozumieć, jak to mogło się prawdopodobnie dziać pomimo tego, że jednak nie miał żadnych szkół rolniczych. Bardzo dużo czytał i widocznie starał się jakoś unowocześnić to rolnictwo, bo między innymi właśnie pierwszy zaczął kupować jakieś nawozy sztuczne, ale jakie to nie mam zielonego pojęcia. Później nawet rozprowadzał po innych majątkach ziemskich. W związku z tym jeździł do majątków sąsiednich.

Między innymi pojechał do Żędowic. Taki majątek między Przemyślanami a Brzeżanami [*raczej w pobliżu Przemyślan - dop. J.W.*]. I tam pierwszy raz spotkał moją mamę, która była u swego wujka na wakacjach. Miała wtedy chyba siedemnaście czy osiemnaście lat. Widocznie zakochał się, bo później pojechał do Brzeżan raz, drugi i w końcu się oświadczył. Pobrali się w 1925 roku. A że moja babcia ze strony mamy, jak powiedziałam, była dewotką, to proszę sobie wyobrazić historię nie z tej ziemi, którą opowiem później.

Babcia z domu Nartowska, czyli córka Franciszka Nartowskiego, Sybira, wyszła za mąż za prokuratora mieszkającego w Brzeżanach. Pan prokura-

tor, też historia rodzinna niesamowita, ponieważ nie wiem, dlaczego wybudował się nie w Tarnopolu a w Brzeżanach. Namiestnik, czy jak to się nazywało, gubernator też nie, w każdym razie do spraw sądownictwa na całe województwo tarnopolskie. [2] I miał ileś tam dzieci, nie wiem ile. Był Austriakiem i nazywał się Scholz. Przy ostatnim połogu zmarła mu żona a dziecko żyło, wobec tego zaczął szukać opiekunki dla dziecka. Za płotem mieszkała rodzina popa ukraińskiego i była stara panna - jego córka. A stara panna to miała trzydzieści lat, bo dawniej, jak dziewczyna do dwudziestego roku nie wyszła za mąż, to już była starą panną. No więc on tę starą pannę wziął do opieki nad dzieckiem. No i w wyniku tej opieki dziecko rosło, a później w wyniku tej opieki urodził się mój dziadek. Czyli z córki popa, tej Ukrainki, a ojca Austriaka.

Cała rodzina tego pradiadka była w Wiedniu i wszystkie jego dzieci mieszkały w Wiedniu. Mój dziadek też. Jak skończył te cztery, pięć czy sześć, nie wiem ile lat, to też został wysłany do Wiednia. Tam skończył studia prawnicze, tak jak ojciec, i wrócił do Brzeżan, gdzie stała chata. No i został prokuratorem w tych Brzeżanach. Gdzieś na jakimś balu czy gdzieś spotkał swoją przyszłą żonę, Janeczkę Nartowską. Nie wiem, czy była sprawa piękności czy posagu, nie wiem, co zaważyło.

W każdym razie dziadek, który skończył studia w Wiedniu, był człowiekiem bardzo czytany. Miał piękny zbiór książek w swoim pokoju, to była jedna cała ściana same półki z książkami. Wszystkie w języku niemieckim. I tam pierwszy raz, na przykład, zobaczyłam zwierzęta z Afryki, taka gruba księga właśnie zwierząt z Afryki. Zresztą dziadek jeździł między innymi też na jakieś safari do Afryki, bo w tamtych okresach prokurator w takim województwie, w powiatowym mieście, no to był ktoś, to się liczyło. Więc i był wykształcony, i w ogóle był bardzo takim - bym powiedziała - o nowoczesnych poglądach na wiele spraw. Z tym, że ja go bardzo mało pamiętam. Pamiętam go w takich różnych okolicznościach śmiesznych, to jeszcze było przed wojną.

Kiedyś z mamą pojechałam do tych Brzeżan i w tym pokoju, gdzie noco- waliśmy, był fortepian i na fortepianie było nowe urządzenie, którego w życiu nie widziałam. Tam zobaczyłam po raz pierwszy czarny telefon. No i w pewnym momencie telefon zadzwonił, moja mama odebrała i powiedziała:

- Tak, tak, zaraz ojca poproszę.

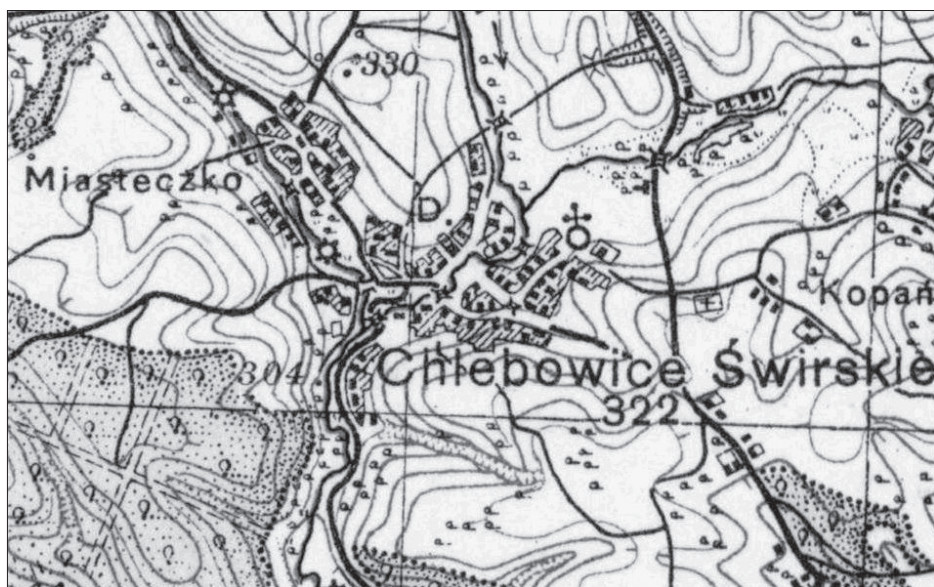
I poszła po dziadka do trzeciego pokoju, bo on miał swój pokój. No i za chwilę przyleciał dziadek. Ja pamiętam, może miałam wtedy pięć, może sześć lat, schowałam się pod kołdrę, bo strasznie śmiałam się z niego i wiedziałam, że nie wolno z dziadka się śmiać. A śmiałam się dlatego, że był w białych kalesonach i za

[2] Józef Wiktor Scholz był sędzią w Brzeżanach i przez jakiś czas był nawet burmistrzem miasta. Patrz: Jolanta Tacakiewicz-Lipińska, *Franciszek Ksawery Nartowski*, „Spotkania Świrzan” nr 101, str. 17. Dop. J.W.

nim ciągnęły się takie troczki, do wiązania długich kalesonów. I miał jakąś taką kapotę na sobie, ta kapota to była mało ważna, tylko te troczki. Oprócz tego miał na wąsach czarną opaskę. Taką zakładało się na uszy, żeby wąs był ładnie ułożony. Dla tego pętaka, który zobaczył dziadka z tą czarną opaską na wąsach, z tymi troczkami, w białych kalesonach, był widok radosny. Ryczałam ze śmiechu i prędko wlażłam pod kołdrę, żeby nikt nie widział, że ja się z dziadka śmieję. Więc to pamiętam, nie wiem, ile lat miałam. A poza tym ta skrzynka, co to dzwoni i dziadek do tej skrzynki się kłania i mówi:

- Tak jest, tak, tak, panie wojewodo. Ależ na pewno, kłaniam się.

I kłaniał się do tej skrzynki. Więc dla takiego pętaka jak ja to było bardzo śmieszne. No i to było moje pierwsze spotkanie z telefonem.



Fragment polskiej mapy topograficznej z Chlebowicami Świrskimi.

Chciałabym wrócić jeszcze do tego majątku, bo wspominała Pani o zabudowaniach gospodarczych, a czy jakieś czworaki się znajdowały, gdzie służba mieszkała?

Były czworaki, ale tego zupełnie nie pamiętam. Gdzie one były, to nie wiem. Wiem, że na pewno, dlatego że była nasza kuchnia, oprócz tego była czeladna kuchnia. To było duże pomieszczenie od strony podwórza, w którym był długi stół, obok stołu ławki i na jednej ścianie był duży kocioł, w którym normalnie gotowało się bieliznę, jak było pranie. Poza tym była tarka taka do

prania i balia, takie gospodarskie różne urządzenia. I oprócz tego właśnie tam przechodziła na śniadanie, na obiad, na kolację cała służba, która była w majątku, to była tak zwana kuchnia czeladna. I ja bardzo często z nimi też jadłam.

Jaka to była służba? Kto wtedy pracował w majątku?

Kochanie, nie powiem. Wiem, że było cztery albo pięć par koni, czyli już jest pięciu parobków do koni. Oprócz tego był stróż nocny notabene bez jednej nogi z okresu wojny z 1914 roku, Ukrainiec. I zamiast nogi miał wstawiony po prostu kawał takiego drewna. Na pasek to było. I on na tym się poruszał i to był stróż nocny. On przeważnie spał w którejś stajni, nie wiem. Natomiast właśnie w kuchni czeladnej zawsze jadł i on opiekował się Hektorem. Hektor to był wspa- niały pies. Jak mnie się źle działo albo dostałam klapsy, to szłam do Hektora do budy i tam spałam. A wszyscy mnie szukali po całym majątku i nie mogli znaleźć, bo do Hektora zbliżał się tylko mój ojciec i Iwan, stróż nocny. Hektor był spuszc- zany z łańcucha tylko na noc, jak ze stróżem obchodził cały majątek. A stale obchodzili każdą noc, no bo pożar, nie pożar, krowy się cieleły, kobyły się żrebiły i wtedy stróż przychodził, stukał do okna parterowego domu i ojciec wstawał, szedł do okna, później się ubierał i wychodził z nim, jak tam się coś działo. Musiał być chyba trzydziesty dziewiąty rok, bo właściwie ja dopiero teraz sobie, jako dorosły człowiek, uprzytomniłam, jaki był ojciec. Ten stukał a ja akurat spałam bo miałam łóżko pod oknem. Ojciec wstał, podszedł do okna, otworzył go i rozmawiał ze stróżem. Wrócił do swojego łóżka, zapalił świeczkę i zaczął się ubierać. I słyszę głos mamy:

- Adasiu, co się dzieje?

- Nic, nic, Jasiu, śpij spokojnie. Muszę pójść, bo chyba Wasylowi - a może nie Wasylowi, jakieś imię ukraińskie padło - krowy wzdęło i muszę iść ją ratować.

I na to głos mojej mamy:

- Wiesz, Adasiu, ty jesteś niemożliwy. Nie dość, że Wasyl wypasa krowę na twojej koniczynie, to ty jeszcze idziesz w nocy ratować mu tę krowę.

A na to głos mego ojca:

- Jasiu, ale Wasyl ma tylko tę krowę i sześcioro dzieci.

I to był mój ojciec.

A proszę powiedzieć, czy jakiś lokaj był?

Nie. Rodzice byli bardzo pracowici, to nic z tych, co pani czyta, co to wiesz, jak, jacy to. Absolutnie nie to. Ojciec oprócz tego, że prowadził swoje gospodarstwo na ileś tych hektarach, to gdzieś w latach trzydziestych, ale dokładnie nie wiem, kiedy, w ramach pomocy czy może zarobku, nie wiem, w każdym razie wziął w administrację - teraz się uśmiejecie - zamek obronny w Świrzu z czter- nastego wieku [raczej z XVI w. - dop. J.W.]. Własność hrabiego Komorowskiego.

Tam była pani hrabina Lamezan. Dlaczego ten majątek był Lamezana to ja nie wiem. [3] Może to jakaś historia z poprzednich lat - jakiś wojak z tego okresu napoleońskiego może został, wzenił się i w związku z tym ten Lamezan. Poznałam panią hrabinę Lamezan. Ona miała wnuczkę, która się nazywała Irena [*Irena była córką Ireny i Roberta Lamezanów - dop. J. W.*]. Irena miała duże zdolności plastyczne, wobec tego studiowała w Krakowie, natomiast ten majątek podupadł kompletnie. Właściwie pani hrabina Lamezan już wtedy była mocno starszą panią. A pani Irenka zakochała się w panu Komorowskim i za niego wyszła za mąż.

Bór-Komorowski, to był ten sam człowiek, proszę panią. Z tym że on był w wojsku, służył w kawalerii i trenował między innymi skoki. W trzydziestym szóstym roku był na olimpiadzie i Polska prawie że zdobyła złoty medal w skokach na olimpiadzie w Berlinie. Nie słyszeliście nic na ten temat? No to wam coś dam do poczytania.

Jak się pan hrabia Tadeusz Komorowski ożenił z panią Irenką, nie wiem, jak ona z domu, czy też Lamezan. Wiem tylko że babcią jej była pani hrabina Lamezan. I wtedy, czy ojciec się zgłosił, czy on do ojca przyjechał, nie wiem. W każdym razie ojciec zatrudnił się tam jako administrator i prowadził ten majątek. Ojciec wstawał o szóstej rano, wypijał kawę i siedł na podwórzu do pana rządcy, bo w tym okresie już u nas pracował rządcą. Był to pan też gdzieś ze wschodu, który stracił majątek i ojciec go zatrudnił, i nawet nie wiem, gdzie on mieszkał. W każdym razie u nas pracował i na wakacje jeszcze dwóch synów miał. Przyjeżdżali ze szkół dwaj chłopcy tacy starsi ode mnie dobre siedem, osiem lat. Szedł do tego pana, ustalali program dnia, gdzie, kto, jak, co ma robić i przychodził na śniadanie.

Wtedy ja już byłam na nogach i mówił do mnie:

- Mariańciu, idź do Kurasia, niech siodła Beduinę i przyprowadź mi ją.

Beduinka bo była jego klacz. I szłam do stajni do Kurasia, Kuraś siodłał Beduinę, była ładna klacz, dostawałam w ręce trendzle i odprowadzałam pod ganek. Podczas tego odprowadzania, pierwszy raz czy drugi, nieważne, szłam za blisko Beduinki no i bardzo ładnie zdarła mi skórę z pięty. Podstawiłam jej nogę, przecież wiadomo, konia się zawsze prowadzi idąc z boku, a nie przed koniem, bo on idzie, nogi wystawia, a była kuta. No ale w ten sposób się nauczyłam klacz prowadzić, już później więcej nigdy mi się to nie zdarzyło.

Po śniadaniu ojciec siadał na Beduinę i jechał do Świrza. I tam był do drugiej, przeważnie koło drugiej wracał do domu na obiad. Czasem jeszcze wracał do Świrza, czasem już nie wracał, różnie to bywało. I raz z ojcem byłam w Świrzu, siedziałam na Beduinie przed ojcem. Też się zastanawiałam, jak to

[3] Gen. Robert Lamezan-Salins był w armii austriackiej, a po uzyskaniu niepodległości przez Polskę wstąpił do wojska polskiego. W międzyczasie ożenił się z Ireną Wolańską. Pełnił funkcje dowódcze i dyplomatyczne. Dop. J. W.

jest, że taki pętał, że mnie tylek, za przeproszeniem, nie bolał, przecież żadnego koca, nic. A może to było na kolanach ojca. Nie wiem, jak ja jechałam. Wiem, że ojciec mnie często brał na Beduinkę i jeździliśmy. Nieraz zabierał mnie do młyna. No i wtedy właśnie raz mnie zabrał do Świrza, znaczy kilka razy, ale raz jedyny wtedy byłam u pani hrabiny Lamezan, bo ojciec coś tam musiał u niej załatwiać, jakieś podpisy czy coś i był u niej, a może chciał mnie przedstawić, nieważne. W każdym razie przywitałam się z tą panią. Wiem, że to była siwa, mocno starsza pani. Ojciec kazał mi się przywitać i później mówił:

- Mariańciu, idź, tutaj zaraz obok jest salon. Popatrz, jakie piękne tam są lustra.

I wtedy pierwszy raz byłam w takim pokoju i pierwszy raz zobaczyłam ekstra błyszczący parkiet. W Brzeżanach też były parkiety, ale one nie były takie błyszczące. Natomiast w tym zamku to było dla mnie przedziwne, dlatego że tam nie było w ogóle ścian, tylko były albo okna, albo lustra. I gdzie się nie spojrzałaś, to siebie widziałaś. Taka ilość stojących luster była, że zawsze z którejś strony się widziało. Pamiętam, że chodziłam i nie mogłam się na siebie napatrzeć w tych lustrach. No to chyba był już trzydziesty dziewiąty rok, tak mi się wydaje. I później w tym zamku mieszkaliśmy w czasie wojny, ale to jest dalsza sprawa.

I wtedy też ojciec mi pokazał właśnie stawy rybne. Gdy ojciec zaczął tam gospodarę, to między innymi, widocznie z uzgodnieniem z panem Komorowskim, zaprowadził stawy rybne, bo ta rzeka właśnie opływała cały zamek. Dawniej to był zamek obronny ze wszystkich stron oblany wodą i był most zwodzony do parku. Park był zresztą piękny. Na ten most zwodzony już nie wolno mi było wchodzić, bo niektóre deski były mocno przegniłe. Ten zamek miał mury, okien w ogóle *de facto* nie było, tylko były otwory strzeleckie, czyli bardzo wąskie, a mury były mniej więcej 40-50 cm grubości. Niesamowite. I nie okna, tak jak dzisiaj, tylko wszędzie były strzelnicze otwory, za wyjątkiem tego salonu. Ale on był na parterze i od strony ogródka, bo tam był ogród. Z części gospodarczej zamku wchodziło się po schodkach do tej części, gdzie był salon.

I wtedy poszłam z ojcem nad te stawy. To były wtedy trzy stawy, po prostu tam wszędzie trzcina rosła. Ojciec widocznie usunął trzcinę i zrobił groble i trzy stawy. Rzeka Świrz je nawodniła i nie było sprawy. Wtedy ojciec mi pokazał jak się odbywa tarło, bo akuratnie wtedy był okres tarła. Pamiętam bardzo dużą samicę karpia i obok mniejsze dwa karpie. Ojciec mi tłumaczył, jak się odbywa tarło, że ta duża to jest samica i ona teraz wypuszcza do wody jajeczka, a panowie polewają je takim mleczkiem i stąd są później małe rybki. Tak mnie ojciec uczył. Nie wiem, czy ja dobrze powtarzam, ale ja to tak pamiętam.

Oprócz tego były dwa stawy, gdzie były młode ryby, które dostawały jedzenie. Akuratnie pan przyniósł chyba parzony łubin, w takich dużych kociołkach. Ten pan stał na pomoście i cmokał, i te ryby wszystkie przy pomoście się zbierały i on wtedy rzucał ten łubin. Tak karmił ryby. Dużo tego było. Tego trze-

ciego stawu już nie pamiętam. Karmienie było niesamowite, te pyszczki jeden przy drugim. Stąd karpie na stół zawsze były świeże.

Cdn.

Wypis z meldunku

Red. Meldunek został napisany 19.05.1944 r. na maszynie przez nieznanego informatora posługującego się kryptonimem „873”. Adresatem był zapewne Lwowski Obszar AK. Tekst znajduje się Bibliotece Cyfrowej Ośrodka KARTA.

(...) Z powiatów Przemyślany i Złoczów donoszą o przeprowadzeniu przez Niemców przeglądu ludności obu narodowości, co trwa od blisko dwóch tygodni. Przeglądowi podlegają roczniki 1909-1925.

Odbywa się to w ten sposób, że wyznaczoną miejscowość otacza żandarmeria i gestapo, a mężczyźni w wieku poborowym stawiają przed komisje lekarskie, które oceniają zdatnych raczej na oko, zwalniając mało kogo. Zdatnych umieszcza się w obozach w Złoczowie, Płuhowie (pow. Złoczów) i Dunajowie (pow. Przemyślany). Tam segreguje się ich na przeznaczonych do roboty w Rzeszy lub Arbeitskompanie bądź zatrudnionych na miejscu. Ukraińcy mają możliwość wyboru i mogą pójść na ochotnika do SS dywizji „Hałyczyna”.

Ukraińcy dość licznie tę drogę wybierają, bo zawsze istnieje możliwość zbiegnięcia. A jak wiadomo, dezercja jest u Ukraińców zasadą. Z nich częściowo rekrutują się bandy. Z wyznaczonych na roboty do Niemiec zbiega w drodze znaczny odsetek.

W ten sposób z wymienionych trzech obozów wynik poboru jest następujący: Obóz w Złoczowie: 1) na roboty do Niemiec - 373 osoby, 2) do dywizji - 198, 3) do roboty na miejscu - 140. Obóz w Płuhowie: 1) na roboty do Niemiec - 750, 2) - do dywizji - 430, 3) do roboty na miejscu - 70. Obóz w Dunajowie: 1) na roboty do Niemiec - 225, 2) do dywizji - 201, 3) do roboty na miejscu - 7. Ze wszystkich trzech obozów przeznaczono do Niemiec 1348 osób, do robót w miejscu - 217, ochotników ukraińskich do wojska jest 829. (...)

Po stronie ludności [polskiej - J.W.] oceniać należy jej wyjazd jako ucieczkę przed działaniami wojennymi, a najbardziej przed rzeziami ukraińskimi, w ich charakterze systematycznego a gruntownego tępienia polskości. Ucieczki tej nie mogą powstrzymać żadne odezwy ani perswazje, bez zapewnienia ludności polskiej skutecznej obrony, bez umożliwienia jej zorganizowanej samoobrony. Na gołosłowne obietnice nikt po najsmutniejszych doświadczeniach nie pójdzie, a trwanie na stanowisku w oczekiwaniu pewnej śmierci męczeńskiej, uważane jest za nierozsądne bohaterstwo, ku realizacji celów polityki ukraińskiej, a ku szkodzie narodowej sprawie polskiej. (...) Z powiatu Przemyślany ludność polska wyjeżdża masowo na Zachód. (...)

Utrzymuje się w Złoczowie uporczywa pogłoska o żądaniu przez Wehrmacht zabrania z frontu wschodniego dywizji SS „Hałyczyna” na inny front, gdyż ta nie przedstawia żadnej wartości bojowej, morduje ludność cywilną, a przez nieproporcjonalnie wysoki stopień dezercji (podobno 60%), wpływa demoralizująco na oddziały niemieckie. (...)

(Wybrał J.W.)

Wybrane teksty z Dziennika Urzędowego wydawanego w Przemyślanach (cz. I)

Na portalu www.polona.pl znajdują się skany *Dziennika urzędowego Starostwa i Wydziału Powiatowego w Przemyślanach*, który był wydawany w latach 1926-1928. Wydawcą było starostwo i wydział powiatowy w tym mieście, a drukował miejscowy drukarz - J. L. Hochberg. Pismo ukazywało się dwa razy w miesiącu (1. i 15. dnia). Format strony - A4, a ich liczba w numerze wynosiła od 2 do 6.

Dziennik zapewne był płatny przez odbiorców, ponieważ na jednym z nich widnieją zachęta do prenumeraty. Na żadnym egzemplarzu nie jest podana cena. Zestaw zawiera 42 skany o numerach dzienników: 1, 3-4, 6-14, 16, 18-19, 22-46 i 48-49.

Pismo przeważnie służyło do przenoszenia do zarządów gmin treści zarządzeń i okólników opracowanych na szczeblu różnych ministerstw, urzędu wojewódzkiego i własnych. Zawiera również kilkadziesiąt informacji dotyczących wydarzeń w powiecie, choć nie wszystkie są bardzo interesujące. Ale może niektóre wypada przedstawić.

+++++

6.12.1927 r. został utworzony przy wydziale powiatowym referat rolniczo-lasowy, którego referentem jest inż. Kazimierz Smaczniak (nr 37).

+++++

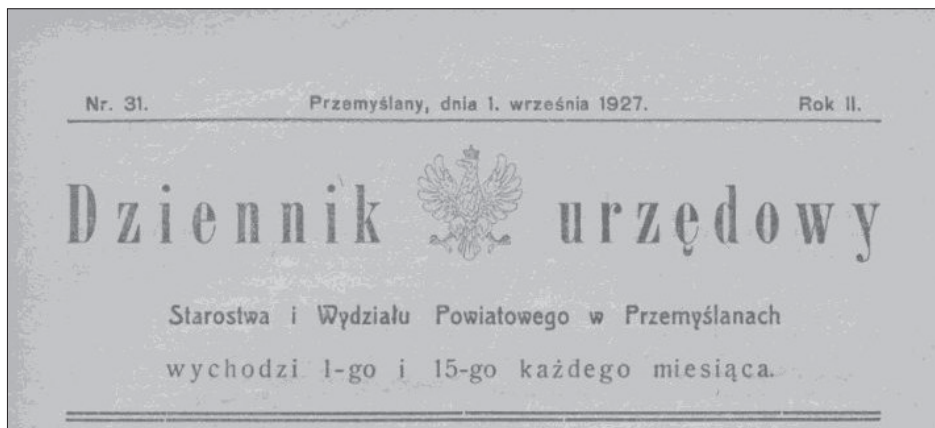
Red. W latach 1925-1926 przeprowadzono akcję wspierania Powiatowego Komitetu Ligi Obrony Powietrznej. W numerze 12 Dziennika podano wyniki zbiórki na ten cel: Alfredówka - 20 zł, Baczów - 15, Biłka - 89,95, Błotnia - 20, Brzuchowice - 70,45, Chlebowice Świrskie - 50, Ciemierzyńce - 400, Czupernosów - 32, Dobrzanica - 55, Dunajów - 20, Dusanów - 81,40, Hanaczów - 100, Jaktorów - 150, Janczyn 30, Kimirz - 117,20, Kopań 33,20, Krosienko - 30, Krzywice - 40, Kurowice - 34,80, Laszki Królewskie - 125, Ładańce - 50, Łonie - 126, 29, Majdan Lipowiecki - 85, Meryszczów - 70, Peczenia - 5,60, Pleników - 40, Pniatyn - 61,60, Poluchów Wielki - 52, Połtew - 61,56, Rozworzany - 35, Słowita - 306, Stanimirz - 218,35, Świrz - 423,70, Tucze - 102,50, Prybeń - 25,70, Uniów - 367, Wiśniowczyk - 89,60, Wołków - 43, Żeniów - 28,60,

Żędowice - 138,60. Razem zebrano 3985,41 zł.

+++++++

Red. W powiecie nie brakowało ucieczek z domu, czy może opuszczenie go bez wiedzy domowników. Umysłowo chora Franciszka Dzikowska, lat 20, urodzona i przynależna do gminy Wiśniowczyk, córka Szczepana i Antoniny oddaliła się z domu rodzinnego dnia 8 czerwca 1927 r. i dotychczas nie wróciła. Wszelkie poszukiwania pozostały bez wyniku. Opis osoby: wzrost średni, budowa ciała - silna, twarz owalna, włosy czarne obcięte (paziowska fryzura). Mówi tylko językiem ruskim, ubrana w biały kaftanik, białą chustkę na głowie, spódnicę czarną i w butach juchtowych. (nr 29)

Plebański Antoni z Janczyna zgłosił, że dnia 3 maja 1927 r. wydalili się z domu syn jego Mikołaj, lat 17, i do dnia daty nie powrócił. Wszelkie poszukiwania za nim pozostały bez skutku. Opis osoby: urodzony, przynależny zamieszkały w Janczynie, wyznania grekokatolickiego, umie czytać i pisać, syn Antoniego i Katarzyny, wzrost 150 cm, włosy blond, gęste, czesane na boki, czoło niskie, oczy c. brunatne, nos orli, usta małe, wargi cienkie, zęby zdrowe zaniedbane, uszy średnie odstające, broda prostopadła, twarz podłużna bez zarostu, ubrany: kaszkiet biały, bluza koloru siwego, spodnie takie same, buty długie stare, chód kiwający się, mówi po polsku i rusku, znaki szczególne żadne. (nr 31)



Nagłówek Dziennika Urzędowego z Przemyśla.

+++++++

Red. Jak na powiat rolniczy nie mogło zabraknąć spraw związanych ze zwierzętami gospodarczymi. Do wszystkich Zarządów gmin i Posterunków Policji Państwowej w powiecie. Polecam ogłosić, że przed paru dniami przetrzymano konia (wałach) jasno kasztanowaty lat 3, wzrost średni, gwiazdka na czole. Koń powyższy znajduje się w Urzędzie gminnym w Kosteniowie. Koń jest do

odebrania po zapłaceniu kosztów utrzymania i po wylegitymowaniu się. Starosta: Marynowski. (nr 33)

Jan Balicki, gospodarz w Tucznem, przytrzymał dwie krowy chodzące po jego ogrodzie w nocy z dnia 24.9 na dzień 25.9.1927 r. niewiadomego pochodzenia. Krowy te zabrał do swojej zagrody i zgłosił w Urzędzie gminnym. Opis krów: 1) krowa maści białej w czerwone łaty, lewy róg złamany, prawy róg ucięty, lat 9. 2) krowa maści żółtej, łysa, spodem biała, prawy róg nowo wyrośnięty, lat 10. O tym polecam zawiadomić wszystkich interesowanych. Za Starostę: Skałkowski. (nr 34)

Iwan Szweda zamieszkały w Uniowie wnosi, że jadąc w stronę Lwowa za Kurowicami przydybał na gościńcu rządowym dnia 2/6 br. o godzinie 24-tej loszkę maści białej około 6 miesięcy liczącą z postronkiem na nodze i leżącą w rowie. Loszkę tę zabrał i przechowuje w Uniowie. O tem donosi celem ogłoszenia, że loszka po wylegitymowaniu się właściciela będzie wydana za zwrotem kosztów utrzymania. (nr 30)

Dnia 15 lipca 1927. Michał Wojtowicz z Hanaczowa przytrzymał w lesie Hanaczowie jedną parę koni wraz z źrebięciem niewiadomego pochodzenia, które to konie zabrał do swojej zagrody zgłaszając w Urzędzie gminnym. Opis koni: klacz maści szpakowatej, bez szczególnych znaków, ogon i grzywa długa. 2) klacz maści żółtej, bez szczególnych znaków, ogon i grzywa długa. (3 źrebię maści jasny kasztan łysy, wszystkie cztery nogi powyżej pęcin białe, ogon porośły czarnym i białym włosiem. (nr 31)

+++++

Red. W styczniu 1926 r. w powiecie zapewne był duży opad śniegu bo niezbędne było odśnieżanie przy pomocy płatnych robotników. W tym czasie kilogram wieprzowiny kosztował ok. 2 zł. Wydział powiatowy w Przemyślanach pismem z dnia 22.1.1926 ustalił cenę robocizny przy rozrzucaniu śniegu na 80 gr za 8 godzinny dzień roboczy, zaś 1 zł za rozrzucanie śniegu w porze nocnej. (nr 1)

+++++

Okręgowa Dyrekcja Pocht i Telegrafów we Lwowie. Z dniem 25.1.1927 wydziela się gminę Ostalówice z zamiejscowego okręgu doręczeń urzędu pocztowego Janczyn i przydziela się do zamiejscowego okręgu doręczeń urzędu pocztowego Przemyślany. (nr 39)

+++++

Do Zarządów gminnych w powiecie. Zdarzają się wypadki, że na terenie lwowskiego okręgu konserwatorskiego, obejmującego województwo lwowskie, tarnopolskie i stanisławowskie, pojawiają się osoby niepowołane i niekompetentne, które przeprowadzają badania i fotografowanie zabytków nieruchomych i ruchomych, jak np. zbiór dzieł sztuki i przyborów, liturgiczne ornaty, monstrancje, kielichy itp. w kościołach, cerkwiach i dworach, legitymując się tylko dokumentami osobistymi, bez specjalnego zezwolenia władzy konserwatorskiej,

lub nawet fałszywymi, wystawionymi rzekomo przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.

Ponieważ zachodzi uzasadniona obawa, że osoby te przeprowadzają wywiady w celach zbrodniczych, tzn. wykorzystania ich do ewent. uplanowanych napadów i rabunków cenniejszych zabytków ruchomych, względnie złośliwego uszkadzania obiektów zabytkowych. W razie pojawienia się takich osób, mimo ich pozornych autentycznych i legalnych dowodów osobistych, oraz zaświadczenia Ministerstwa Wyznań Rel. i Oświecenia Publicznego, Spraw Wewnętrznych lub Wojskowych oddawały ich bezwzględnie do dyspozycji Posterunku Policji Państwowej, celem stwierdzenia autentyczności dokumentów. (nr 4)

+++++

Do wszystkich Zwierzchności gminnych w powiecie (z wyjątkiem Przemyślan i Glinian). W ubiegłym roku powstało w Przemyślanach powiatowe Koło walki z gruźlicą, które założyło bezpłatne poradnie przeciwgruźlicze, a to w Przemyślanach, Świrzu, Glinianach i Dunajowie. Towarzystwo to rozwinęło bardzo intensywną działalność, o czym świadczy to, że w czasie od 1 X 1925 do 31 III 1926 skorzystało z bezpłatnej porady lekarskiej 399 osób, a łącznie udzielono porad lekarskich 529.

Wśród leczonych otrzymało 163 osób bezpłatne lekarstwo, a 49 osób otrzymało stałe zapomogi w naturze a to: spluwaczki i artykuły żywnościowe jak mleko i smalec. Artykuły żywnościowe - rozumie się - wydano bezpłatnie jedynie chorym bardzo ubogim, a których leczenie rokowało jeszcze odzyskanie pewnej zdolności do zarobkowania.

Ponieważ Towarzystwo nie rozporządza prawie żadnymi funduszami, a na skuteczne prowadzenia walki z tym niebezpiecznym wrogiem ludności, jakim jest gruźlica, potrzeba wydatnych środków, Wydział powiatowy wypłacać będzie na akcję zwalczania gruźlicy subwencje na rachunek i w granicach kwot wystawionych przez gminy do budżetu na r. 1926 i potrącać je z końcem roku z dodatków do podatków gminnych. Komisarz rządowy Starosta: Marynowski. (nr 7)

+++++

Wojewódzkie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze przystąpiło po dwuletnich wysiłkach do druku zaleconego przez Ministerstwo Robót Publicznych i niezbędnego na tutejszym terenie „Przewodnika po Województwie Tarnopolskim”. Przewodnik będzie praktycznym informatorem dla turystów, krajoznawców i wszelkiego rodzaju podróżnych i przyjezdnych, zawierać będzie około 150 stron druku, 40 ilustracji światłoczułych, opisy powyżej dwustu obiektów historycznych, artystycznych i osobliwości przyrody, zestawionych wedle powiatów wraz ze statystyką, spisem urzędów państwowych i samorządowych oraz mapą.

Ze względu na zamierzoną niską cenę sprzedażną dla celów propagandy

tut. Województwa na zewnątrz i znaczne koszty wydawnictwa, które w 1/3 będą pokryte z funduszy Towarzystwa, zwraca się tutaj. Towarzystwo do Wysokiego Urzędu Wojewódzkiego z gorącą prośbą o wezwanie Związków samorządowych na terenie Województwa do udzielenia Towarzystwu możliwie wydatnych subwencji i zasiłków finansowych celem umożliwienia rychłej realizacji tak pożytecznego dzieła. Sekretarz: Śląski, Prezes: Kunzek. Cdn.
Wybrał J. W.



Natalia i Stefan Procherowie, z synkiem, mieszkańcy Glinian, którzy szczęśliwie przechowali rodzinę żydowską w czasie okupacji niemieckiej.

Wybawcy umieścili tabliczkę z ich nazwiskiem obok posadzonego drzewa na terenie Instytutu Yad Vashem w Izraelu.

Rodzina została odznaczona medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata w 1977 r.

Źródło: www.yadvashem.org.

Józef Wyspiański

Spis ludności w 1943 r.

Na stronie wiki-de.genealogy.net znajduje się opracowanie pt. *Amtliches Gemeinde- und Dorfverzeichnis für das Generalgouvernement auf Grund der Summarischen Bevölkerungsaufnahme am 1. März 1943*. W nim po-

dane są miejscowości z b. pow. Przemyśłany z liczbą mieszkańców na dzień 1.03.1943 r. Od początku okupacji niemieckiej należały do Obwodu Złoczów, choć niektóre wioski były w nowych gminach. W wykazach nie podano podziału mieszkańców ze względu na narodowość. Nazwy miejscowości podane są po polsku.

Przed spisem Ukraińcy przeprowadzili bardzo intensywną akcję propagandową, która miała na celu odzyskanie „dusz” spolonizowanej ludności ukraińskiej wyznania rzymskokatolickiego. Wyjaśniano przy tym, że „wszyscy są obywatelami ukraińskiego pochodzenia bez względu na to, jakiego są wyznania”, i wyznanie, jak to było dotychczas, nie należało łączyć z narodowością. Wzywano do poszukiwania „zbląkanych owiec” i budzenia w nich zagubionej świadomości przynależności narodowej.

Do wszystkich ogniw ukraińskiego życia społecznego kierowano apele do wzięcia aktywnego udziału w przygotowaniach. Szczególnie podkreślano rolę niższej administracji będącej w rękach ukraińskich, która miała mianować komisarzy spisowych - tylko Ukraińców i jednocześnie „świadomych ludzi”.

W prasie ukazywały się artykuły o sfałszowanych wynikach spisu z 1931 roku i zaniżeniu liczby Ukraińców w Polsce o ok. 1 400 000 osób. Pisano o innych warunkach w nadchodzącym spisie i konieczności wykorzystania go do odrobienia strat.

Pełne wyniki spisu, a przede wszystkim statystyk narodowościowych, nigdy nie zostały podane do publicznej wiadomości. Jego wiarygodność była podważana przez polskie podziemie, m.in. z powodu dużej zależności polskiego chłopca od administracji ukraińskiej, braku Polaków wśród komisarzy spisowych i wypełnianie arkuszy spisowych ołówkiem - mówiąc najkrócej.

Na podstawie niemieckiego spisu, mimo wielu zastrzeżeń i niepełnych danych, liczba Polaków w dystrykcie wynosiła ok. 800 000 i względem stanu z 1931 r. spadła o 40% a Ukraińców - 3 200 000 i wzrosła o 15%. Największy spadek Polaków zaznaczył się m.in. w pow. Przemyśłany - z 38 000 do 15 000 czyli o 60%. (Patrz: www.mankutry.com/hryciuk)

Liczba ludności w miejscowościach z pow. Przemyśłany

Gmina Dobrzanica - 9265 mieszkańców, w tym Brzuchowice - 721, Chlebowice Świrskie - 2111, Dobrzanica - 703, Korzelice-Hulków - 1831, Ostałowice - 1071, Prybeń - 374, Tuczne - 1092, Wojciechowice - 712 i Żędowice - 650.

Gmina Dunajów - 11851, w tym: Dunajów - 2599, Ciemierzyńce - 2742, Białe - 2599, Nowosiółka - 1026, Pleników - 559, Pniatyń - 618, Poluchów Mały - 737 i Wiśniowczyk - 1359.

Gmina Gliniany - 11264 w tym: Gliniany - 2519, Jaktorów - 1745, Krzywice - 574, Mazów - 123, Poluchów Wielki - 980, Przegnojów - 1241, Rozworzany -

991, Słowita - 1719, Zamoście - 851 i Żeniów - 501.

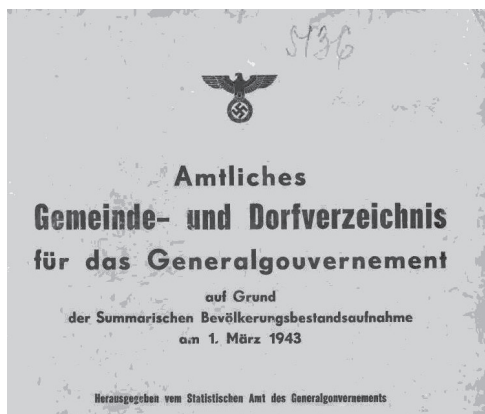
Gmina Janczyn - 12005, w tym: Baczów - 877, Biłka - 713, Błotnia - 1618, Brykoń - 249, Dusanów - 1590, Janczyn 1736, Kosteniów - 459, Meryszczów - 741, Pletenice - 654, Podusilna 1305, Podusów 1105 i Wołków - 958.

Gmina Gologóry w tym (z byłego pow. Przemyślan): Lipowce - 2033 i Łonie - 947.

Gmina Kurowice - 12922 w tym: Alfredówka - 456, Hanaczów - 1361, Hanaczówka - 667, Kurowice - 2007, Łahodów - 1801, Peczenia - 859, Podhajczyki - 801, Pohorylce - 727, Sołowa - 760, Stanimierz - 1120, Turkocin - 522, Unterwalden (Podlesie) - 505, Wyżniany - 1039 i Zaciemne - 277.

Gmina Przemyślan - 18736 w tym: Przemyślan (miasto) - 4953, Borszów - 1978, Czupernosów - 527, Dąbrowa - 192, Jasna - 222, Kimirz - 909, Kopań - 663, Korosno (Krosienko) - 1590, Ładańce - 945, Majdan Lipowiecki - 661, Niedzieliska - 624, Siworogi - 433, Świrz - 2273, Uniów - 1136, Uszkowice - 1032 i Wypyski - 598.

Gmina Zadwórze - 6650 w tym: Bogdanówka - 373, Laszki Królewskie - 1195, Połonice - 1076, Połtew - 1333 i Zadwórze - 2673.



Fragment okładki niemieckiego opracowania o spisie z 1943 r.
Źródło: wiki-de.genealogy.net

W porównaniu z okresem przedwojennym została zlikwidowana gmina świrska, a Świrz, Kopań, Kimirz i Niedzieliska włączono do gminy przemyślańskiej, zaś Chlebowice Świrskie do gminy dobrzanieckiej. Czy Niemcom, czy też Ukraińcom, zależało na tym aby wieś zamieszkała w większości przez Polaków nie była wyjątkową w obwodzie złoczowskim? Nie wiadomo. Zniesiono również gminę Pohorylce.

Zastanawiająca jest duża liczba mieszkańców Przemyślan - 4953 osób. W r. 1931 było ich 5391, z czego prawie połowę stanowili Żydzi. W czasie napadu wojsk niemieckich na Polskę duża liczba żydowskich u-

chodźców znalazła schronienie w Przemyślanach i okolicach, powiększając liczbę mieszkańców miasta, choć nie wiadomo o jaką liczbę chodzi.

W liczbie 4953 mieszkańców Przemyślan Niemcy ujęli 2093 Żydów znajdujących się jeszcze w miejscowym getcie, bo tak przewidywała instrukcja spisowa. Jednak wkrótce większość wysłali do obozu w Bełżcu. Stąd w mieście było 2860 Polaków i Ukraińców.

Prawdopodobnie w statystyce ujęto pewną liczbę Żydów przebywających w obozie pracy w Kurowicach, ponieważ w roku 1933 w tej wiosce mieszkało 1700 osób, zaś w spisie podano 2007. Podobnie ma się sprawa z Jaktorowem, gdzie też był obóz pracy. Przed wojną było 1200 mieszkańców, a w marcu 1943 - 1745.

Niewielkie obozy pracy były jeszcze w Czupernosowie i Jasnej, lecz ze względu na małe różnice pomiędzy liczbą mieszkańców z roku 1933 i 1943 nie można twierdzić o ujęciu w wykazie znajdujących się tam Żydów. W tym czasie w Glinianach i Dunajowie już nie było obozów przejściowych dla Żydów.

W r. 1943 ludność w powiecie liczyła 80722 osoby. Względem roku 1939 zmalała prawie o 18 000, co stanowi spadek liczby mieszkańców o 18%. Prawie co piąta osoba w powiecie została deportowana na Sybir, zabrana do sowieckiej armii, zabita przez niemieckiego okupanta lub ukraińskich nacjonalistów bądź zabrana na przymusowe roboty do Rzeszy.

Do 1.03.1943 r. ukraińscy nacjonaści dokonali kilkunastu napadów w powiecie przemyskim, w których zginęły przynajmniej 52 osoby, najczęściej nieznane z nazwiska, przeważnie Żydzi. W niektórych opracowaniach podano 100 ofiar napadów bandytów ukraińskich (1941 r.) na Żydów.

Red. „Deklaracja....” była zbiorem 111 tomów opracowanych w Polsce i dostarczonych do Białego Domu z zamierzeniem uczczenia 150. rocznicy Deklaracji Niepodległości, ale również podziękowanie za niesioną pomoc głodującym polskim dzieciom po zakończeniu I wojny światowej. Podpisy złożono w 1926 r.

Wpisy dzieci w księdze „Deklaracji Podziwu i Przyjaźni dla Stanów Zjednoczonych” - ze szkoły w Kurowicach, Laszkach Królewskich i Łahodowie.

Kurowice, szkoła czteroklasowa mieszana. Opiekun - ks. Jan Walter, kierownik - Helena Diaczkowa, inspektor - Jan Koneczny.

Barasimowicz A., Barasimowicz Anna, Barasimowicz Maria, Bąk Maria, Bernacka Julia, Bernecka Katarzyna, Bernecki P., Bogusławska M., Brezdeń Stefan, Chomów Tekla, Czerniak Mikołaj, Danyłów Piotr, Dąbroska Maria, Dąbrowska Maria, Diaczek Roman, Dłczyk Mikołaj, Dłczyk Piotr, Domaradzka Maria, Dyrda Anastazja, Dyrda Jan, Dyrda K, Ende Cepa, Fartuszyński Mikołaj, Fechter Jerzy, Flis Jan, Gabrielska Zofia, Gołdij Grzegorz, Gruszkiewicz Helena, Gruszkiewicz Władysław, Gryglewicz Grzegorz, Gryglewicz Magdalena, Gryglewicz Teofila, Herzberg Dora, Iwanosz Dymitr, Jurdyga Aleksander, Kormyło J.,

Kowal Katarzyna, Kowal Maria, Kowal Paweł, Kowal Stefan, Kowal Wasyl, Kowalówna Justyna, Kował Matrona, Lebrand Eugenia, Lebrand Stanisława, Lipski Tadeusz, Łukawiecka Maria, Marciniak Eugenia, Marciniak Justyna, Marcinów Jakub, Mazur Maria, Mehl Faiga, Migdałówna B., Możdziński Grzegorz, Ochrymowicz Franciszka, Ochrymowiczówna B., Oleksów Grzegorz, Ołeksów Leon, Oribka Aleksander, Pająkiewicz Julia, Pająkiewicz Justyna, Pająkiewicz Justyna, Pająkiewicz M., Pająkiewicz Paweł, Pająkiewicz Stefania, Pańków Anna, Pańków Zofia, Pelech Władysław, Petrów Anna, Petrów Stefania, Pokorski Józef, Pokorski Tadeusz, Preschówna Ludmiła, Presek Zuzanna, Prociów Maria, Prociów Matrona, Pro-ciów Paweł, Pryhoda P., Pucal Stanisława, Pyłpociów Grzegorz, Pyłpociów Maria, Rozwirski Stefan, Schott Stanisław, Sieraczyński Kazimierz, Siraut Justyna, Słocki Aleksander, Sobków Szymon, Sobków Wanda, Sobków Wanda, Strębicki Jan, Strzelecki Stanisław, Styczyńska Zofia, Styczyński Stanisław, Szendrowski Grzegorz, Szendrowski M., Szewczuk Paweł, Szewczuk Władysław, Szwarc Marian, Szymańska Katarzyna, Szymańska Katarzyna, Szymańska Maria, Turski Maciej, Turski Michał, Witryk Tekla, Zwarycz Justyna, Żółtański Józef (nauczyciele: Helena Ichniowska, F. Bahrynowicz).

Laszki Królewskie - szkoła dwuklasowa powszechna. Opiekun - Stanisław Treter, kierownik - Antonina Haasówna, inspektor - Jan Koneczny.

Stopień IV: Bożejko Stefan, Gadzała Katarzyna, Gałęcka Anna, Gałęcki Aleksander, Hładysz Władysław, Ira Anna, Ira Paulina, Jurdyga Katarzyna, Kapyna Maria, Korejba Pelagia, Kutyński Wasyl, Masztalerz Jan, Masztalerz Piotr, Matwijów Anna, Niemirowska Zofia, Pilipiszyn Michał, Pyłypczuk Maria, Radziwon Jan, Radziwon Mikołaj, Stefańczuk Jan, Sulima Filip, Sulima Stefania, Szymański Maciej, Turek Aleksander, Turek Anastazja, Turek Jan, Turek Katarzyna, Turek Zofia, Wojakowska Anna, Wojakowska Olga, Wojakowska Stefania.

Stopień III: Balicz Andrzej, Balicz Filip, Balicz Michał, Balicz Mikołaj, Balicz Paweł, Bożejka Stefania, Bożejko Piotr, Duliba Michał, Duliba Semen, Duliba Władysław, Gadzała Konstanty, Gadzała Matrona, Gadzała Michał, Garda Michał, Gruszecka Olga, Gruszecki Michał, Ira Stanisław, Jurdyga Jan, Jurdyga Michał, Jurdyga Michał, Kapyna Jan, Kapyna Maria, Krochmalna Eugenia, Krochmalna Stefania, Kutyńska Maria, Myszczyk Michał, Paciórko Aleksander, Pawłyk Michał, Petryszyn Jan, Radziwon Maria, Radziwon Michał, Radziwon Pelagia, Seniutowicz Stefan, Stefańczuk Maria, Sulima Olga, Turek Olena, Turek Stefan, Wojakowska Maria.

Stopień II: Bogusławski Wasyl, Borowek Józef, Duliba Stefania, Gałęcka Katarzyna, Gruszecka Maria, Hładysz Anastazja, Humennyj Stefan, Kazik Cyryl, Kazik Olga, Kieca Olga, Kutyńska Anna, Myszczyk Anna, Petryszyn Broni-

sława, Petryszyn Olga, Radziwon Dymitr, Ranicka Maria, Rybak Katarzyna, Stefańczuk Zofia, Sulima Mikołaj, Sulima Paweł.

Stopień I: Borowyk Stefania, Filipów Tekla, Gadzała Natalia, Gałęcki Jan, Kotyńska Zofia, Masztalerz Filip, Matwijów Bronisława, Matwijów Stefania, Radziwon Maria, Radziwon Michał, Sulima Olga, Sulima Olga, Sulima Władysław, Turek Maria, Turek Władysław, Vogelfanger Abraham, Vogelfanger Zofia (nauczyciele: Helena Langnerówna, ks. J. Walter - naucz. religii).

Łahodów - szkoła czteroklasowa powszechna. Opiekun - Jan Korczowski, kierownik - Anna Gierblerówna (w zast.), inspektor - Jan Koneczny.

Antoszków Tekla, Antoszków Eudokia, Antoszków Michał, Antoszków Piotr, Antoszków Semen, Antoszków Wasyl, Bankówna Ryszarda, Bankówna Zofia, Beniuch Jawdocha, Bodnar Andrzej, Bryliński Jan, Cymbała Anna, Cymbała Mikołaj, Cymbała Stanisław, Cymbała Tekla, Florko Piotr, Florkówna Paraskewia, Fugitewicz Piotr, Gac Andrzej, Gac Katarzyna, Gac Michał, Gac Mikołaj, Gac Semen, Hałajski Piotr, Hałajski Władysław, Hanaczowska Maria, Huciówna Hanna, Huć Ignacy, Hwozdykówna Romana, Kostiw Maria, Kościów Paraskewia, Kramarz Jan, Kramarz Jan, Kramarz Michał, Kramarżówna Anna, Kramarżówna Maria, Krasitowicz Wasyl, Krawiec Jawdocha, Krawiec

Michał, Kuźma Atanazy, Kuźma Bazyli, Kuźma Piotr, Kuźma Melania, Kuźmiorówna Tekla, Łaba Iwan, Łaba Olena, Łaba Paraskewia, Łaba Piotr, Łaba Stefan, Łaba Włodzimierz, Łabówna Parania, Łabówna Tekla, Mackow Piotr, Makar Jan, Makar P., Makar Stefania, Makarówna Tekla, Matwijów Eudokia, Matwijów Katarzyna, Matwijów Tekla, Matwijów Tymko, Michaliszynówna Czesława, Michał Łaba, Moss Jan, Moss Józef, Mynówna Anna, Myszołowska Anna, Myszołowska Katarzyna, Myszołowska Maria, Myszołowska Maria, Myszołowska



Irena Komorowska. Widok z dziedzińca górnego na bramę wjazdową, 1920-1930, akwarela. Zdjęcie pobrano z Katalogu pt. *Zamek w Świrzu*.

Stefania, Myszołowski O., Myszołowski Ołeksza, Myszołowski Michał, Myszołowski Stefan, Nazarkówna Maria, Niezgódka Czesław, Niezgódka Władysław, Nowogrodzka Maria, Nowogrodzki Michał, Nowogrodzki Michał, Nowogrodzki Piotr, Ogrodnik Iwan, Okoń Anna, Ozimek Hanna, Palczyński Aleksander, Palczyński Jan, Palczyński Wasyl, Pilipeczuk Piotr, Procykówna Hanna, Profeta Michał, Profeta Stefan, Pyłypczak Michał, Pyłypczak Chrystyna, Pyłypczuk Jan, Pyłypczuk Stefan, Pyłypczykówna Katarzyna, Senyk Josyf, Senyk Dymitr, Senyk Dymitr, Senyk Ewa, Senyk Maria, Senyk Parania, Senyk Tekla, Senykówna Maria, Senykówna Parania, Sukacz Michał, Szczur Eugeniusz, Szczur Katarzyna, Śnieżek Marcin, Śnieżek Mikołaj, Śnieżek Piotr, Śnieżkówna Krystyna, Tychowicz Andrzej, Tychowicz Katarzyna, Tychowicz Michalina, Tychowiczówna Maria, Tywoniuk Mikołaj, Tywoniuk Włodzimierz, Tywoniukówna Katarzyna, Wojtanowski Bronisław, Woronka Katarzyna, Woronka Wanda, Woronko Tekla, Woźna Jawdocha, Woźny Hryńko, Żuk Parania.

Józef Wyspiański

Tragiczne losy żołnierzy z Hanaczowa w I wojnie światowej

1. Bednarz Franciszek, ur. w 1896 r., zginął w 1916 r.
2. Bednarz Jan, ur. w 1878 r., zmarł 15.05.1918 r. w szpitalu wojskowym.
3. Bednarz Karol, ur. w 1883 r., zginął w 1916 r.
4. Bednarz Michał, ur. w 1886 r., zginął na froncie 14.10.1916 r.
5. Bednarz Michał, ur. w 1896 r., nie wrócił z wojny.
6. Blicharski Antoni, ur. w 1882 r., zmarł 26.07.1917 r. na polu bitwy w Rumunii.
7. Bojczuk Błażej, ur. w 1876 r., zmarł 10.02.1918 r. w szpitalu w Ołomuńcu.
8. Bojczuk Jan, ur. w 1885 r., zginął w 1914 r.
9. Bojczuk Michał, ur. w 1887 r., zginął na wojnie (brak daty).
10. Ciesielski Antoni, ur. w 1895 r., zmarł 29.09.1918 r. w szpitalu włoskim.
11. Dyl Andrzej, ur. w 1893 r., zginął 12.10.1916 r.
12. Figurski Władysław, ur. w 1869, zginął w 1914 r.
13. Hałajko Karol, (brak daty urodzenia), zginął na wojnie w 1916 r.
14. Kadaj Mikołaj, ur. w 1886 r., zmarł w 1916 r. w szpitalu na Śląsku.
15. Kłosowski Jan, ur. w 1895 r., zmarł w 1918 r. w szpitalu wojskowym.
16. Kozak Rajmund, ur. w 1877 r., zginął w 1914 r.
17. Mucha Michał, ur. w 1870 r., zginął na wojnie (brak daty).
18. Nieckarz Adam, ur. w 1877 r., zmarł 16.03.1917 r. w szpitalu w Czechach.

19. Nieckarz Mikołaj, ur. w 1890 r., zmarł (brak daty) w Rosji jako jeńiec wojenny.
20. Nieckarz Stanisław, ur. w 1883 r., zmarł na wojnie 26.03.1915 r.
21. Nieckarz Wincenty, ur. w 1877 r., zginął 1.02.1916 r. we Włoszech.
22. Nieckarz Władysław, ur. 1868 r., zginął w 1916 r.
23. Niemczycki Michał, ur. w 1886 r., zginął (brak daty) na wojnie.
24. Ostrowski Michał, ur. w 1897 r., zginął na wojnie w 1918 r.
25. Skotni Józef, ur. w 1892 r., zginął na wojnie (brak daty).
26. Skotni Wojciech, ur. w 1892 r., zmarł 1.10.1918 r. w Rosji.
27. Stasiuk Jan, ur. w 1887 r., zginął na wojnie (brak daty).
28. Stasiuk Jan, ur. w 1895 r., zginął we Włoszech w 1916 r.
29. Szybała Kazimierz, ur. w 1892 r., zmarł w 1915 r. z odniesionych ran.
30. Urban Jakub, ur. w 1898 r., zginął na wojnie (brak daty).
31. Urban Jan, ur. w 1893 r., zmarł 19.04.1918 r. w szpitalu wojskowym.
32. Urban Wojciech, ur. w 1884 r., zginął na froncie 29.02.1918 r.
33. Węgrzyn Mikołaj, ur. w 1888 r., zmarł 1.03.1919 r. w szpitalu wojskowym.
34. Winiarski Andrzej, ur. w 1884 r., zmarł 6.10.1918 r. w szpitalu od odniesionych ran.
35. Wójtowicz Antoni, ur. w 1882 r., zginął 27.08.1917 r. na froncie włoskim.
36. Wójtowicz Jakub, ur. w 1896 r., zmarł 1.02.1819 r. w szpitalu we Włoszech.
37. Wójtowicz Piotr, ur. w 1883 r., zginął 24.12.1914 r. pod Przemyślanami.
38. Zadorożny Marcin, ur. w 1890 r., zginął na wojnie (brak daty).

Nazwiska wypisano z dokumentu parafialnego i wykaz nie jest kompletny, o czym mogą świadczyć dwa nazwiska w opracowaniu *Los niektórych żołnierzy armii austro-węgierskiej pochodzących z pow. Przemyślan*, („Spotkania Świrzan” nr 112, str. 22) :

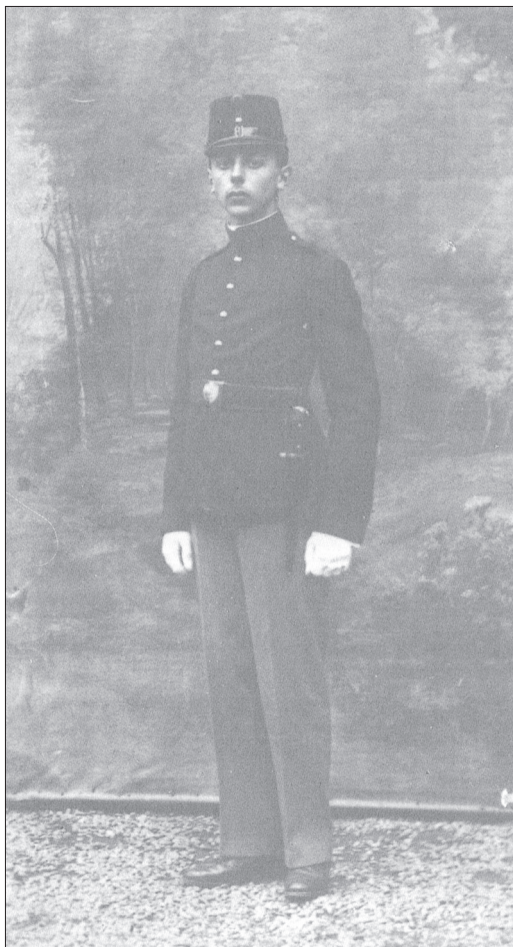
1. Świrk Karol, ur. w 1885 r., jeńiec.
 2. Wójtowicz Marian, ur. w 1881 r., ranny.
-

Józef Wypiański

Archiwum gen. Tadeusza Komorowskiego

Pan Adam Komorowski, syn gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, przekazał w tym roku do Fundacji Ośrodka KARTA zbiór dokumentów związanych z jego ojcem, pochodzących z lat 1945-1981. Cały zbiór archiwalny liczy 407 pozycji, liczba dokumentów - 1744 a łączna liczba stron wynosi 6603. Komplet

składa się z odręcznych notatek generała, wycinków prasowych, listów, filmów, audycji radiowych, rękopisów i broszur. Wśród nich znajduje się niedokończona biografia generała napisana przez Eugeniusza Romiszewskiego. „Był to dziennikarz-historyk pracujący dla Radia Wolnej Europy, który od roku 1967 do śmierci przeprowadził około pięćdziesięciu rozmów z ważnymi, już nie żyjącymi świadkami, którzy znali ojca” - wyjaśnił A. Komorowski.



Tadeusz Komorowski jako student
Franz-Josef Akademii w Wiedniu, 1914 r.
Fotografię pobrano z: T. Bór-Komorowski,
Armia Podziemna, str. 471.

Po wstępnej analizie dokumentów, Prezes Fundacji stwierdził, że jest niezwykle „wdzięczny za tę szczególną szansę, przed którą stanął Ośrodek - i jako archiwum, i jako wydawnictwo. Cały projekt uważa za dzieło o wielkim znaczeniu dla współczesnej Polski.” Zaproponował roboczy tytuł: *Decyzje „Bora”*. (*Auto*) *biografia Tadeusza Komorowskiego, kawalerzysty, olimpijczyka, dowódcy, wodza, premiera*. „Księga byłaby chronologicznym montażem świadectw, komponowanych z trzech rodzajów materiału: autobiografii (wszystkich rodzajów tekstów samego Tadeusza Komorowskiego), biografii (wybranych fragmentów autorskiego zapisu E. Romiszewskiego - który w tym wymiarze byłby współautorem książki) oraz wielogłosowego komentarza (fragmentów opinii innych osób wypowiadających się o Generale). Całość miałaby formę, która wykorzystuje znaczną ilość ilustracji oraz różne rodzaje składu, dające możliwość graficznego różnicowania typów tekstów.”

Nim ukaże się wymieniona biografia T. Komorowskiego warto przytoczyć najważniejsze

wydarzenia z życiorysu Generała, osoby związanej ze Świrzem.

Urodził się 1.09.1895 r. w Chorobrowie pow. Brzeżany. Po ukończeniu gimnazjum we Lwowie wstąpił w 1913 r. do Akademii Wojskowej w Wiedniu. W okresie I wojny światowej (1919-1918), w stopniu porucznika kawalerii austriackiej był na froncie rosyjskim i włoskim. W 1918 r. w Wojsku Polskim (9 P. Uł. Małopolskich). W czasie wojny z bolszewikami 1920 r. został ranny w bitwie pod Komarowem (12 P. Uł. Podolskich) Po wojnie (1923) awansowany do stopnia majora służy w 9 P. Uł. W latach 1922-1923 jest instruktorem jazdy konnej w Oficerskiej Szkole Artylerii w Toruniu. Wchodząc w skład ekipy olimpijskiej zdobywa prestiżowe nagrody m.in. na zawodach jeździeckich w Paryżu i Nicei. W okresie 1923-1925 pełni funkcję zastępcy dowódcy 8 P. Uł. Ks. Józefa Poniatowskiego, a od 1925 do 1926 jest komendantem Szkoły Podoficerskiej Zawodowej kawalerii w Jaworowie, po czym obejmuje stanowisko zastępcy, a następnie dowódcy 9 P. Uł. Małopolskich w Czortkowie i Trembowli.

Z końcem 1933 r., już jako pułkownik, przeniesiony zostaje do Grudziądza, gdzie jest komendantem Centrum Wyszczolenia Kawalerii. Na krótko przed wybuchem wojny mianowany zostaje dowódcą Ośrodka Zapasowego Kawalerii. W kampanii wrześniowej 1939 r. organizuje w ramach Armii Lublin zgrupowanie Kawalerii „Garwolin”. W trakcie walk odwrotowych wpadłszy w zasadzkę szczęśliwie unika niewoli i przedostaje się do Krakowa, gdzie współorganizuje Tajną Armię Polską, podporządkowaną następnie Związkowi Walki Zbrojnej a później Armii Krajowej.

Od 1940 r. jako „Korczak” jest komendantem Obszaru IV ZWZ (Związku Walki Zbrojnej). W roku 1941 zostaje powołany na stanowisko zastępcy, a od 1943 r. Komendanta Głównego AK („Lawina”, „Znicz”, „Bór”). Podejmuje decyzję o wykonaniu akcji „Burza”, której w pewnym sensie szczytowym momentem było Powstanie Warszawskie 1944 r. W końcowym okresie walk w Warszawie gen. Bór-Komorowski mianowany zostaje Naczelnym Wodzem Polskich Sił Zbrojnych, którego obowiązki podjął dopiero po wyjściu z niewoli niemieckiej w 1945 r. i przybyciu do Londynu.

W 1946 r. składa rezygnację z funkcji Naczelnego Wodza i w 1947 r. zostaje mianowany premierem Rządu RP na uchodźstwie (1947-1949), pełniąc również obowiązki ministra skarbu, przemysłu, pracy i opieki społecznej oraz żeglugi i handlu. Po rozłamie w obozie legalistycznym (1954 r.) wchodzi w skład Ośrodka Zjednoczeniowego, gdzie od 1956 r. jest członkiem Rady Trzech (współ z gen. W. Andersem i amb. E. Raczyńskim). Na krótko przed śmiercią patronuje wraz z innymi członkami Rady Trzech wielkiemu Zjazdowi Polski Walczącej w roku 1966. Zmarł nagle na serce 24.08.1966 r. w Grove Farm. Jego prochy, wraz z prochami żony sprowadzono do Polski w 1994 r., dopiero po powstaniu demokratycznego rządu.

(Opracowano na podstawie listów A. Komorowskiego i Z. Gluzy.)

Pokłosie naszych publikacji

Red. Poniższy tekst nawiązuje do artykułu Stanisława Marciniaka - Zmarli w parafii świrskiej w latach 1765-1905 („Spotkania Świrzan” nr 141 str. 15 i nr 142 str. 19)

Oczekiwana liczba zgonów w parafii świrskiej 1765-1900

Zaokrąglenia. Zjawisko zaokrągleń w zbiorach danych nie jest nowe. Jan Mydlarski w latach 1955-57 stworzył zdjęcie antropometryczne Polaków. Zmierzono wówczas u 90 tys. osób kilkanaście cech. I chociaż pomiary robili specjaliści, wkrótce zauważono zaokrąglenia do 0 i 5. Dyskutowano wtedy metody wykrywania i naprawiania danych. Pan Stanisław Marciniak sugeruje mechanizm powstania zjawiska w jego materiale. Uśrednianie pozwala wyrównać wykres, ale przypadek L60 jest wielkim odchyleniem wśród wielkich odchyleń. Najłatwiej powiedzieć, że jest to błąd zapisu, co sugerowałem w mailu. Jeśli nie ma tam błędu zapisu, to nie zaszkodzi zrobić jakąś uwagę objaśniającą. Można w tym miejscu przytoczyć anegdotę. Na konferencji probabilistycznej w latach siedemdziesiątych w Warnie pewien uczestnik, występujący raczej w roli „tęchochraniciela” innego Rosjanina, opowiadał o strukturze wieku populacji radzieckiej. Tam także występują nadwyżki w szeregu rozdzielczym, ułożonym wg lat. Jeden z uczestników wyjaśnił zjawisko „piatiletkami” w planowaniu. Pod koniec pięciolatki, po prostu, nadrabiano plany urodzeń i zgonów.

Dopisek:

Fragment przesłanej mi noty, jest obciążony nieścisłością wynikającą z braku danych w niektórych wioskach należących do parafii. Nasuwa się potrzeba korekty, to znaczy obliczenia oczekiwanej liczby zgonów w latach i miejscowościach w celu uzupełnienia brakujących danych. Zadanie to w uproszczony sposób można wykonać na bazie kompletnych danych ze Świrza i Niedzielisk (łącznie) i z tego co zostało po części zaobserwowane w każdej z pozostałych osiedli. Weźmy dla przykładu Kopań.

Mamy liczby zgonów w Świrzu: $n(i)$, $i = 1765, 1766, \dots, 1900$.

Mamy dane z Kopania: $m(i)$: wybrane i .

Obliczamy frakcje: $p(i) = m(i)/n(i)$, wybrane i .

Sporządzamy wykres punktów na płaszczyźnie: $(i, p(i))$.

Wyrównujemy te punkty np. wielomianowo:

Wyrównujemy te punkty np. wielomianowo: $\hat{p}(i) = a + b \cdot i + c \cdot i^2$.

Obliczamy oczekiwane wartości brakujących liczb zgonów:

Obliczamy oczekiwane wartości brakujących liczb zgonów: $\hat{m}(i) = n(i) \cdot \hat{p}(i)$.

Teraz podobnie należy postąpić dla pozostałych wiosek z brakującymi

danymi. Razem da to oczekiwane liczby zgonów w poszczególnych latach w całej parafii. W latach 1830-49 wyrówna się wykres, zniknie sztucznie wywołana zmienność. W latach 1778-1815 podniosą się zaniżone liczebności. Być może teraz można będzie badać pewne zjawiska globalnie, a nie tylko w wybranych segmentach lat. Podobnie można by skorygować liczby urodzeń, jeśli w księgach są też luki. W mojej nocie o urodzeniach uniknąłem chyba tej konfuzji.

Inne problemy:

Materiał jest bardzo cenny, przydatny zwłaszcza do poszukiwań genealogicznych. Także w celach poznawczych trudno poprzestać na tym, co zrobiono. Pozostaje wiele do zbadania. Wymieniam to, co mi się teraz nasuwa: Sezonowość śródroczna. Życie w ówczesnych czasach, tak zależne od kalendarza, powinno wykazywać zmienność śródroczną urodzin i zgonów. Dynamika tego zjawiska w ciągu wielu lat, mogłaby ujawnić ewentualne trendy. Anegdota. Sposób odżywiania się noworodka i małego dziecka niewątpliwie wpływa na jego rozwój fizyczny i umysłowy. Na całe życie. To pozwala piszącemu te słowa wierzyć (w odpowiednim zakresie) w horoskopy. Dynamika zjawisk. Być może interesujące byłoby zrobienie analizy określonych problemów na wybranych segmentach czasu, potem zestawienie wyników. Tę pracę należy wykonać na kompletnych danych (tylko Świrz) albo na danych skorygowanych. Na przykład porównać w czasie (może wg zamieszkania): śmiertelność dzieci lub śmiertelność kobiet w wieku rozrodczym, wybrane przyczyny zgonu, itd. Badania statystyczne metodą reprezentacyjną. Do opisu niektórych zjawisk nie trzeba śledzić wszystkich osób. Wystarczy wylosować np. 100 osób, np. kobiet i zbadać je dokładnie (liczbę urodzonych dzieci, liczbę dzieci osiągających pełnoletniość, itp.) Będą to i tak bardzo wstępne, ale interesujące, doniesienia.

Bolesław Kopociński

Z katowickiego IPN-u otrzymałem odpowiedź w sprawie saperów, którzy zginęli podczas rozminowywania terenu koło Herbów. Według mojej oceny wykaz przybliży tragedię z 1945 r. Fragment listu cytuję poniżej.

Piotr Rura

Biorąc pod uwagę podane dane wydaje się pewne, że 11.06. 1945 r. śmierć pod Herbami podczas rozminowywania terenu poniósł lejtn. (ppor.) Mikołaj Rubcowa z 2 brygady saperów. Prawdopodobna jest postać sapera Rury (rozbieżność tyczy imienia: Szczepan lub Stefan). Wg powyższych informacji 11.06. 1945 zginęli również (bez podania miejsca - mogły to być okolice Herb) inni saperzy z 2 brygady saperów: sierż. Stefan Baj, ppor. Czesław Kołowski, sierż. Józef Olszanko i saper Jan Zabłocki. Nie można również wykluczyć tutaj osoby chor. Mikołaja Borysowa, ewentualnie (co raczej najmniej prawdopodobne) kpr. Kazimierza Kłosowskiego.

Bolesław Kopociński

Red. Wspomnienia p. Franciszka nie ukazałyby się w naszej gazecie gdyby nie współpraca z p. Janiną Lacel, która przekonała Autora do publikacji swojego tekstu w „Spotkaniach Świrzan”, za co Jej bardzo dziękujemy. Pani Janina społecznie zajmuje się spisywaniem wspomnień Kresowian mieszkających w powiecie Ziebie.

proszę o informację po rozmowie z Panią Marią Trybalską. Jeśli Państwo się dogadacie, wysyłam Panu transkrypcję z całego wywiadu. Pozdrawiam,

Piotr Lasota

INFORMACJE

Na stronie www.przemyslany-sdb.com znajdują się nazwiska 14 proboszczów parafii w Przemyślanach, od ks. Wawrzyńca Dunajowiana (ok. 1633 r.) do obecnego - ks. Piotra Smolki. Z nazwiskami ks. Z. Bilskiego, ks. P. Struszkiewiczza i ks. P. Smolki są związane informacje biograficzne. Nazwiska wyszukał p. Tomasz Fojgt.

+++++

Polski Bank Spółdzielczy w Przemyślanach. Spółdzielnia powyższa założona została w r. 1872, a bilans za rok ostatni wykazuje następujące pozycje: Kapitał udziałowy zł. 109.000, rezerwy 25.000, obroty wynosiły 4.489,000 zł., wkłady oszczędnościowe zł. 144.000. Ilość udziałów wynosi 1.542, przy czym 84% z nich znajduje się w rękach gospodarzy rolnych, pozostałe zaś 16% posiadają kupcy, rękodzielnicy, związki, etc. Celem spółdzielni jest udzielanie pożyczek na cele gospodarcze, do wysokości zł. 2.000 dla osoby prywatnej. Majątek Banku, oprócz kapitału gotówkowego, stanowi własny gmach oraz parcela w mieście, o rzeczywistej wartości zł. 90.000. Tak to najstarsza instytucja w powiecie cieszy się spółdzielnia wielkim zaufaniem ludności, która chętnie lokuje w niej swe oszczędności. Bank posiada zastępstwo Banku Polskiego dla inkasa weksli.

Radzie przewodniczy długoletni

prezes, p. Stanisław Wybranowski, właściciel dóbr Uszkowice, wiceprezesem jest dr Edward Schutt, dyrektor szpitala w Przemyślanach. Dyrekcję stanowią pp. Kazimierz Drogoń, Szczepan Franków i Jan Wojtowicz. Dyrektorem zarządzającym jest p. Kazimierz Drogoń, wytrawny bankowiec, b. dyrektor Tow. Zaliczkowego w Gorlicach i Lwowie, na obecnej placówce pracujący w latach 1901—1907, obecnie zaś od r. 1928. (*Wiadomości Turystyczne*. Tarnopol, 1932 r., str. 75)

+++++

W środę (6.05.2020 r.) na facebookowych profilach MSZ Ukrainy, Ambasady Ukrainy w Polsce i Konsulatu Generalnego Ukrainy w Krakowie zamieszczono grafikę ze zdjęciem, na którym widać członków UPA, m.in. jej głównodowodzącego R. Szuchewycza, odpowiedzialnego za ludobójstwo Polaków. Zrobiono to w ramach projektu poświęconego „odklamywaniu” historii w rocznicę zakończenia II wojny światowej.

Grafice towarzyszył opis, w którym przypomniano o tzw. Konferencji Zniewolonych Narodów Wschodniej Europy i Azji, zorganizowanej przez kierownictwo Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) w lasach na Wołyniu w listopadzie 1943 roku. Jak twierdzą ukraińscy nacjonaliści, w warunkach konspiracji

zebrało się tam 39 delegatów reprezentujących 13 narodowości.

Natomiast historyk Grzegorz Motyka dowodzi, że „protokół z przebiegu obrad był na tyle kompromitujący”, że banderowcy zniszczyli go, a „część delegatów została niedługo później zlikwidowana przez Służbę Bezpieczeństwa OUN”.

Nie wspomniano także o tym, że efektem wizytacji Szuchewycza na Wołyniu było postanowienie o przeniesieniu „doświadczeń wołyńskich” czyli ludobójstwa ludności polskiej na tereny Małopolski Wschodniej. Ukraińska dyplomacja przemilczała też kolaborację OUN-UPA i Szuchewycza osobiście z III Rzeszą.

+++++

Do Sejmu trafił prezydencki projekt ustawy o jednorazowym świadczeniu pieniężnym przysługującym polskim obywatelom zesłanym lub deportowanym do Związku Sowieckiego w latach 1939–1956 – poinformował portal Dzieje.pl.

„Projekt dotyczy zniwelowania dotychczasowych nierówności i umożliwienia zaspokojenia roszczeń obywateli polskich zesłanych

lub deportowanych do ZSRR w latach 1939–1956, którzy do tej pory nie otrzymali rekompensaty za doznane cierpienia” – czytamy na stronach Sejmu.

Wnioskodawca zauważa, że dotychczasowe rekompensaty udzielane przez państwo polskie z tytułu prześladowań doznanych ze strony okupantów nie objęły wszystkich polskich zesłańców. Projekt – jak wskazano – jest też odpowiedzią na postulaty środowiska Sybiraków, w których sygnalizowano, że dożywają oni swoich dni bardzo często w trudnych warunkach.

Świadczenie ma być jednorazowe, a jego wysokość proporcjonalna do okresu przebywania na zesłaniu lub deportacji w ZSRR. Za każdy pełny miesiąc spędzony na zesłaniu w latach 1939–1956 ma przysługiwać 200 zł, jednak nie mniej niż 2,4 tys. zł.

+++++

Emilian W. Kuźmowycz ur. 30. 11.1886 r. w Podusilnej, poseł z Lidy, który zmarł prawdopodobnie w grudniu 1943 r. w Utwinie (ZSRR), dokąd został wywieziony przez NKWD.

+++++

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 147. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, X 2020 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.

ISSN 2544-0012